

KAMENIA

LUBLIN 7 IV 1974 Nr 7 (545)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

UWAGA CZYTELNICY!

W kilku kolejnych numerach będziemy prezentować na ostatniej stronie propozycje nowych winiet tytułowych „Kamenny”, opracowanych przez Andrzeja Bareckiego. Pragniemy, aby sami Czytelnicy zdecydowali, którą z winiet warto by przyjąć na stałe. (A może należałoby zostawić aktualną?). Listy w tej sprawie prosimy kierować do redakcji po opublikowaniu czterech propozycji, z których pierwszą przedstawiamy dzisiaj. Wśród uczestników naszego „plebiscytu” rozlosujemy nagrody.

Gastronomia na zakręcie

Maciej Podgórski



Wesele

Foto. J. Mendychowski

PONIEWAŻ NASTĘPNY NUMER „KAMENY” UKAŻE SIĘ Z DATA 21 KWIETNIA, DLATEGO JUŻ DZISIAJ WSZYSTKIM CZYTELNICZKOM I CZYTELNIKOM (A SZCZEGÓLNIEM MŁODYM PAROM) ŻYCZYMY WESOŁYCH ŚWIĄT.

OD 1 lutego nastąpiła nowa sytuacja w gastronomii krajowej, a ja zacząłem odwiedzać lokale gastronomiczne miasta Lublina w celach nie tyle konsumpcyjnych, ile raczej turystycznych. Żeby popatrzeć. Co lepsze restauracje („Unia”, „Europa”, „Victoria”, „Powszechna”, „Motel”...) — w porze obiadowej były ciche i puste, gdyż — jak twierdzili kelnerzy — klient się wystraszył nowych marż i do baru mlecznego zbiegł. Bary mleczne natomiast pełne i gwarne, podobnie zresztą jak i wspomniane restauracje porą wieczorową i nocną, kiedy to przy stolikach zasiadała głównie długowłosa młodzież, spożywając piwo lub coca-cola oraz bawiąc się do oporu, ponieważ zniesiono karty wstępu i bony konsumpcyjne, a — jak twierdzili kelnerzy — klient z szerszym gestem przestraszył się nowych marż i w domu siedzi przy żonie oraz dzieciach. Pełne i gwarne, zarówno porą obiadową jak i wieczorową, były również restauracje typu „na setę i galarete”, stosujące najniższe marże i posiadające określoną klientelę, ale nawet nieletni harcerz wie, że żaden normalny człowiek nie pójdzie do takiego lokalu na obiad czy kolację, tylko — żeby się dobić — na trzy sety i pół galarety (bis). Było i będzie.

Tak przedstawiała się sytuacja gastronomiczna miasta Lublina w lutym. Bo w marcu już nieco lepiej. Nieśmiało zaczął powracać do lepszych restauracji konsument obiadowy, skuszony zestawami tanich obiadów z bonifikatą (nawet „Unia”, choć nie zobligowana z urzędu wprowadziła popularne dania obiadowe z tańszych surowców i zmniejszyła na te dania marżę w godzinach 13—17). W „Victorii” obiad popularny nie przekracza ceny 20 zł, w „Unii” — 35 zł. Ponadto okazało się,

Dokończenie na str. 8

SESJA NERWICOWCÓW?

Mirosław Derecki

W MOJEJ rodzinie po dziś dzień żywa jest pamięć o historii, jaka wydarzyła się przed pół wiekiem na uniwersytecie lwowskim, a której bohaterem był jeden z kuzynów. Młodzieniec ów zdawał swój pierwszy w życiu egzamin u profesora, człowieka wielce szacowanego i dystyngowanego, nie pozbawionego jednak temperamentu i fantazji. Każda kolejna odpowiedź egzaminowanego budziła coraz większy gniew w egzaminującym, aż wreszcie profesor nie wytrzymał, skoczył do drzwi gabinetu, szarpnął za klamkę i ryknął w głąb korytarza: „Janie — drabine!”

— A po co panu profesorowi drabina? — zdumiał się woźny.

— Żeby wejść pod sufit i stamtąd obejrzeć w całej okazałości największego bałwana jakiego nosiła kula ziemska!

Odkąd istnieją uniwersytety, każda sesja egzaminacyjna, będąca najbardziej nerwowym okresem życia społeczności uniwersyteckiej, przynosi nawal dykteryjek, dowcipów i żartów na temat profesorów i studentów. Jest to swoisty

Dokończenie na str. 4—5

Marek Grała

W SOWIM OKU

w sowim oku
chodzi księżyc w czapce z pomponem
czarne róże przemalowuje na czerwono
pochylony nad złamanym krzyżem
całuję pulsującą ziemię pod stopami
nie każ mi mówić: kocham
ludzie widzą w moich oczach śmiech
skaczący jak małpa z drzewa rodzenia na drzewo śmierci
a przecież to są lzy
nie każ mi mówić: miłość
z płatków twoich piersi
mógłbym ulepić Boga Dobroci
ale ludzie
księżyc pogubił kaptcie gwiazd
idzie na palcach cicho, najciszej
nie chcąc zbudzić słońca
chcę pozwoić mi jeszcze chwilę być szczęśliwym
on wie
rano wrócą ludzie
i w pełnym słońcu
będą znowu gwałcić mój romantyzm

W którym żyjemy

INFLACJA BIUROKRACJI

ZACHODNIEMIĘCKI tygodnik „Stern” podał chyba klasyczny przykład biurokracji. W jednym z miast Niemieckiej Republiki Federalnej urząd państwowy miał zwrócić pewnemu renciście 40 fenigów. Urzędnik, którego zlecono dokonanie wypłaty, przestudował dokładnie odpowiednie przepisy stwierdzając, że najpierw musi uzyskać szereg akceptacji. Jak się potem okazało, przesyłanie papierka z urzędu do urzędu kosztowało — tylko w znaczkach pocztowych — 7 marek i 20 fenigów.

Biurokracja w NRF rozrosła się do niezwykłych rozmiarów. W urzędach pracuje łącznie 3,3 mln urzędników, których utrzymanie kosztuje rocznie 100 miliardów marek. Wydanie każdej ważniejszej decyzji wymaga znajomości około 20 tys. paragrafów różnych ustaw, dekretów, zarządzeń itp. Istnieją bardzo dziwne przepisy, np. „O postępowaniu z kaczymi jajkami” lub „O odszkodowaniach przy wyrobie w domu niedźwiadków z pluszu”.

CENZURA PO JAPONSKU

ARTYKUŁ 21 japońskich przepisów celnych zabrania przywożenia do tego kraju wydawnictw pornograficznych. Za pornografię uznaje się nie fotografie nagich ciał, niezależnie w jakiej pozycji się one znajdują, ale wyłącznie te fragmenty ciała, które pokryte są włosami oznaczającymi dojrzałość płciową.

Stąd też od pewnego czasu, gdy japońscy celnicy stali się bardziej rygorystyczni, magazyny w rodzaju „Palyboy” czy „Penthouse” nie mogły być legalnie przywożone do kraju kwitnącej wiśni.

Ale od czego pomysłowość wydawców i ich odbiorców? Po nadejściu każdego numeru w komorze celnej zjawiali się wynajęci studenci, którzy

ręcznie zamalowywali „pornograficzne” owłosienie. Celnicy byli zadowoleni, a handel szedł coraz lepiej. Po prostu dlatego, że sprzedawcy do każdego takiego pisma dodawali buteleczkę płynu wywabiającego farbę, naturalnie zwiększając cenę egzemplarza o 300 proc.

Gdy sprawa stała się głośna, celnicy zażądali, aby sprzedawcy wycinali nożyczkami odpowiednie miejsca. W odpowiedzi ci ostatni ogłosili memoriał, w którym m. in. zapytują premiera: dlaczego władze są tak surowe w stosunku do wielbicieli pięknych dziewcząt, a jednocześnie tak tolerancyjne wobec filmów i komiksów, w których samurajowie dokonują najbardziej barbarzyńskich czynów wobec swoich rodaków, nie wyłączając pięknych dziewcząt?

PODWÓJNE GRATY

NA targ w Abidżanie chłopci, ogrodnicy i kupcy przywożą olbrzymie kosze ryb, krabów, owoców i jarzyn. Ponieważ transport tych towarów autobusami miejskimi praktycznie nie byłby możliwy, władze zezwoliły na używanie prywatnych taksówek ciężarowych. Były to naturalnie stare i zużyte wozy, z reguły skłcone z części różnych marek samochodów. Nazywano je popularnie „gbaca” — czyli graty.

Okazało się jednak, że właściciele tych gratów robili doskonałe interesy. Zaladowywali na wozy dwa, a nawet trzy razy więcej towarów, niż wynosiła określona przepisami norma. I mimo to nie rozlatywały się. Ostatnio policja przeprowadziła dokładną kontrolę gratów. Wyszło na jaw, że na 332 skontrolowane wehikuly aż 253 nie posiadały zezwoleń. Po prostu właściciele pod tym samym numerem rejestracyjnym eksploatowali po dwa, trzy, a nawet cztery graty, z których każdy jeździł w innej dzielnicy, a tylko od jednego płacono podatków. Sprawa była tym łatwiejsza, że w więk-

szości krajów afrykańskich nie istnieją dowody rejestracyjne, a tylko same tablice, których podrobienie nie jest tak trudne. Zwłaszcza gdy się odpowiednio zapłaci...

SEZAMIE — OTWÓRZ SIĘ

WSZYSCY pamiętamy tę bajkę, gdy na głos Ali Baby otworzyła się pełna kosztowności kryjówka czterdziestu rozbójników. Wygląda jednak na to, że wkrótce to, co w bajce było najbardziej fascynujące, stanie się rzeczywistością.

Mianowicie dr Herbert Reitboeck z Pittsburga wynalazł zamek doskonały, którego nikt poza osobą (osobami) zainteresowaną nie będzie mógł otworzyć. Wynalazek oparty został na już znanym od dawna fakcie, że głos każdego człowieka jest inny. Podobnie jak linie papilarne na palcach, tak samo i długość fal każdego głosu ludzkiego przy wymawianiu tej samej litery lub sylaby jest zupełnie inna. Będzie to dla każdego widoczne, jeżeli fale dźwiękowe pochodzące z gardła ludzkiego przekształcimy na fale świetlne i zarejestrujemy je na ekranie lub papierze światłoczułym.

Aparaty posłuszne głosowi ludzkiemu są już od kilku lat konstruowane w różnych państwach. Ale koszt każdego z nich nigdy nie był niższy od 100 tys. dolarów. Wynalazek dr Reitboecka polega na tym, że dzięki uproszczeniu i zminiaturyzowaniu wszystkich części koszt przy produkcji seryjnej wyniesie sto dolarów. Ponadto zamek można uregulować tak, iż będzie on otwierał się automatycznie „słyszac” od jednego do czterdziestu zarejestrowanych uprzednio głosów, nie reagując na miliony innych. Trzeba jednak dodać, że chodzi tu nie o głos „w ogóle”, ale o określone słowo wymówione przez określoną osobę (osoby). Z czego wynika, że zamek nie nadaje się dla zapominalskich.

Japońskie osiągnięcia gospodarcze są na pewno nie do podważenia. Pisząc jednak o nich często zapomina się o odwrotnej stronie medalu: o niesłychanie wielkim zanieczyszczeniu środowiska. Zanieczyszczenie to zagraża bezpośrednio życiu i zdrowotności społeczeństwa.

ZACZEŁO się od tego (problem ten poruszył hamburski „Stern”), że koty w Minamata oszalały. Wrzasnęły, pognały ulicami i rzuciły się do morza, gdzie utonęły. Zaden z mieszkańców tej małej południowo-japońskiej miejscowości o niezłe rozwiniętym przemyśle nie mógł przypuszczać, że zagadkowe samobójstwo kotów jest zwiastunem katastrofy. Kilka tygodni później wielu rybaków z Minamata dostało gwałtownych drgawek. Poczęli szczeleć jak psy, miotali się i padali wstrząsani drgawkami. Przewieziono ich do szpitala miejscowych zakładów chemicznych Chisso. Podczas gdy ordynator szpitala badał przyczyny tej tajemniczej choroby, zachorowało na nią łącznie 279 osób; 57 spośród nich zmarło w strasznych cierpieniach.

Dopiero w 1962 r., sześć lat po rozpoczęciu się katastrofy, lekarz wykrył jej przyczynę: zatrucie rrtęcią, którą zakłady Chisso w swych nieoczyszczonych ściekach kierowały wprost do morza. Najpierw zatruli się ryby, później koty i ludzie, którzy te ryby spożywali.

Druga katastrofa wydarzyła się w prowincji Tojama. Do miejscowego lekarza, Hagino, zgłosili się nagle pacjenci, którzy uskarżali się na gwałtowne bóle podbrzusza i stawów. Zadane środki nie pomagały. Kości pacjentów kureczyły się, stawały się kruche i pękały przy każdym nieostrożnym ruchu. Jeden z chorych, co wykazał obraz rentgenowski, miał aż 72 pęknięcia kości!

Dr Hagino nazwał tę bolesną chorobę „Itai-Itai” i długo szukał jej przyczyny. Gdy liczba pacjentów wzrosła do 280, wykrył iż choroba została spowodowana zatruciem przez związek metalu kadmu. Kadm znalazł się w ściekach, które do rzeki Jintsu kierowały zakłady metalurgiczne concernu „Mitsui”. Chłopi używali zatrutych wód do nawadniania swych pól ryżowych. Zmarło 119 osób.

Charakterystyczne, iż w obu wypadkach nie przerwano produkcji. Menedżerowie concernu „Mitsui” zaangażowali naukowców, którzy w specjalnej kontrospertyzie zaprzeczyli teorię dr Hagino. A jednak lekarz miał rację.

Choroba „Itai-Itai” ujawniła się również na wyspie Cuszima oraz u ujścia rzeki Agano. Tam również ścieki zatruiwały wodę kadmem.

Inne nieszczęście dotknęło zachodnią Japonię. Nagle zginęło tu pół miliona kur wskutek zatrucia się paszą: wytlókaniami z oleju ryżowego. „Towarzystwo Kanemi-Soko”, które tę paszę dostar-

czyło, wyparło się jakiegokolwiek odpowiedzialności. Niewiele tygodni później zachorowało ponad tysiąc osób. Cierpieli na wysypki, trudności oddechowe, wypadanie włosów, osłabienie pamięci, brak apetytu i bóle w stawach. Kobiety, nawiedzone przez nową chorobę, wydawały na świat ciemnoskóre dzieci.

Za przyczynę choroby uznano ostatecznie zatrucie przez związek chemiczny — polichlorobifenyl (PCB), który może wywołać schorzenia nowotworowe. Firma „Kanemi Soko”, która dostarczała tej paszy dla drobiu, stosowała PCB przy rafinowaniu oleju ryżowego. Przez defekt techniczny trucizna dostała się do oleju. I później najpierw zatruli się kury, a następnie ludzie.

Czwarta katastrofa nawiedziła małe miasto portowe — Yokkaichi, gdzie nagle kurczowe napady kaszlu dotknęły 811 mieszkańców. Zmarło 58 osób, zaś dwie dalsze, pod wpływem bólu, popełniły samobójstwo. Winę za tę groźną epidemię kaszlu ponosi ogromny kombinat petrochemiczny, z którego kominów wydostaje się rocznie 140 tysięcy ton związków siarkowych.

Lekarze nazwali tę chorobę „astmą z Yokkaichi”.

Zeby obraz był pełniejszy, trzeba jeszcze przypomnieć, co wydarzyło się w Tokio 18 lipca 1970 r. Stolicę Japonii pokrył kłosz oparów. Dzień był niezwykle upalny, bezwietrzny. Na dziedzińcu szkolnym, w dzielnicy Suginami 45 dziewcząt grało w siatkówkę. Nagle, około południa, kilka z nich załamało się. Skarżyły się na ból głowy i na mdłości. W oczach odczuwały dotkliwy ból, a nogi odmawiały im posłuszeństwa.

Karetki pogotowia przewiozły więc je do pobliskiego szpitala. W tym sa-

wiska. Wszędzie w kraju instaluje się więc stacje, które dokonują pomiarów zanieczyszczenia powietrza przez gazy — dwutlenek siarki i tlenek węgla, a w wypadku stwierdzenia norm zagrażających ludziom wydają ostrzegawcze sygnały. Wówczas np. w Tokio zakładom przemysłowym wolno spalać tylko uboższy (droższy) w siarkę olej, a w szkołach przerywa się ćwiczenia gimnastyczne na wolnym powietrzu.

Ofiary Minamata, chory na „Itai-Itai”, ludzie z Yokkaichi; zorganizowali się w związki obrony interesów, i — przy aplauzie opinii publicznej — wszczęli postępowanie sądowe przeciw menażerom firm odpowiedzialnych za katastrofy. Wszędzie powstały inicjatywy obywatelskie, wywierające nacisk na władze lokalne i zmuszające do zwiększenia starań i środków na ochronę środowiska.

O wadze problemu mogą świadczyć i inne fakty. Na plaży Shonan w pobliżu Tokio, gdzie podczas gorących dni lata tłoczy się ponad milion wycieczkowiczów, tablice ostrzegają wszędzie przed wejściem do wody. Ścieki przemysłowe zanieczyściły tu morze do tego stopnia, że już w 1962 r. gubernator Tokio musiał wypłacić 4000 rybaków kwotę ponad 100 mln dolarów jako odszkodowanie za utracone tereny połowów.

Na każdy kilometr kwadratowy powierzchni miejskiej w Tokio spadają codziennie 34 tony pyłów przemysłowych (w Nowym Jorku — dla porównania — tylko 17).

Gdy przyjdzie niedziela, miliony ludzi usiłują wy dostać się z tego piekła. Nie ma jednak ucieczki: zapchane szosy wylotowe, przepełnione pociągi, niezliczone masy ludzkie na plażach i jeziorach...

Na szczycie Fudżijamy — „Świętej Góry”, odległej od Tokio o 100 km, tłoczy się 50 tys. turystów...

Rząd występuje z koncepcją gigantycznego przegrupowania przemysłu. Na rysowniczych sztabów planowania powstają nowoczesne miasta obliczone na 200 tysięcy mieszkańców, połączone nową siecią linii kolejowych i autostrad. Ale — jeśli ta gigantyczna przeprowadzka zostanie przeprowadzona — nie spowoduje ona rozszerzenia się zanieczyszczenia środowiska na cały kraj?

Niezależnie od wszystkiego warto zacytować słowa profesora Jun Ue z uniwersytetu tokijskiego, który powiedział: „Patrzmy własnymi oczami na upadek Japonii. Kraj popełni samobójstwo, jeśli jego obywatele nie potrafią się obronić przed przemocą potentatów przemysłu. Nasza sytuacja powinna stać się ostrzeżeniem dla całego świata.”

Dlaczego oszalały koty w Minamata?

Po koniu gospodarza znać — rzeźce staropolskie przysłowie. Ale po czym poznać sołtysa na ten przykład, tego nikt nie wie, choć instytucja — wielokrotnie modyfikowana — istnieje od wieków, wrosnięta w całą historię polskiej wsi, stanowiąca trwały element jej tradycyjnego i współczesnego pejzażu. Od czternastowiecznego osadnictwa na prawie magdeburskim i polskim, po dzisiejsze Urzędy Gminne.

NAJLEPIEJ sołtysa poznać po odznace — żartują w gminie Komarówka Podlaska w powiecie radzyńskim.

Okazuje się, że i ten często zewnętrzny wyróżnik zawodzi. Po prostu nie spotkałem żadnego sołtysa z odznaką. Różnie mówią: nie zdążyli zrobić jeszcze; nijako nosić medal taki ludziom ku uciesze.

— Może jakby którego zaczął pierwszy, to tak, to i przyjęłaby się ta odznaka. A tak to jeszcze jeden na drugiego się ogląda, w kłapę wpina przed wejściem do urzędu, a za progiem znów w kieszeń chowa.

Wieś nie ma tych problemów, ludzie znają swoich sołtysów doskonale i chętnie o nich mówią. Złe — rzadko. Dobrze — prawie wszyscy. Po prostu sami ich sobie wybrali. Z reguły na trzecią, czwartą kadencję. Nikt im tu władzy do wsi w teczkę nie przywoził. A demokracja zobowiązuje. Więc za złą opinią o sołtysie z reguły interes prywatny, albo odwieczne wsiowe ważne rodzinne przetrzymują niechętnie. Bo interes i animozje zaprzęta silniejsze nawet od demokracji. Ale to już polityka, panie redaktorze, choć sołtysowi przystoi przecież politycznie rozumować — wszak władza.

Nic to, że w „Podlaskiej” rozmawiamy. Gospoda w Komarówce przytulna i czysta. Ceny skoczyły nie za bardzo, więc po wstępnym okresie dezorientacji i zastojów w interesie, znów tu rojno i gwarno. Każdego tu spotkać można, wiele spraw obgadać, ludzi, znajomych, powinowatych, a i urzędowe osoby trafić. Najlepiej w niedzielę. Najporęczniejsze po sumie. Największy wtedy ruch. W bufecie i w ogóle.

Nie dziwota więc, że na — nomen omen — trzynastu sołectw w gminie, aż dziewięciu sołtysów zdybałem przy stolikach nie samą oranżadą

zastawionych. Przy różnych stolikach, o różnych porach tej samej niedzieli dnia trzeciego marca roku bieżącego.

— Mówią, że pijem... Nie więcej niż każdy. Tylko że jak ja siedzę w gospodzie, to każdy widzi, każdego w oczy kluje. A co, ja nie człowiek, jak każdy?

— Dziś takie czasy. Inaczej nie da rady.

— Panie, świat to cyrk, a ludzie komedianty — pada z boku wtręt belkotliwy, zupełnie jakby nie a propos.

— Z ludźmi trzeba żyć — podsumowuje sołtys. — Nie da rady — trzeba żyć.

WALINNA

Więc to ta wieś, której mieszkańcy Franciszka Barana jednogłośnie sołtysiem wybrali po raz czwarty, a wybrawszy — na rękach wynieśli. Dosłownie. Faktu takiego nie notują żadne gminne kroniki, najstarsi ludzie nie pamiętają. Chłopska natura nieskora do uzewnętrzniania uczuć. Więc co? Tymczasem wieś, jak wieś. Po części murowana. Gdzieniedzie antena telewizyjna. Dachówka i eternit, ale i strzechy, chałupki czasem cara Mikołaja przytomne, z bali siekiera i ręczną piłą obrobionych, mocno zębem czasu naruszonych. Stare z nowym poplątane, wymieszane. Podlasie po prostu. Anno Domini 1974.

Odpowiedzi szukać trzeba w nowym — odpowiedział mi w Komarówce sekretarz urzędu gminnego, Jan Mitura. Oglądam więc to nowe w Walinnie: dwa sklepy, klub Rolnika, remizę nową okazałą, zlewnię mleka. Niewiele. Ale i wieś niewielka. Więc w proporcji do innych wsi, takiego Rudna czy Kołębrod na przykład, bardzo dużo. Wszystko z dużym nakładem sił i środków własnych wsi postawione, z inwencją i nieustępliwością sołtysa związane, w ciągu lat paru ostatnich czynem w rzeczywistość przemienione. Więc dużo, bardzo dużo — zważywszy, że nowe wszystko, nowoczesne i dziewicze, jako że nigdy przedtem w Walinnie remizy, klubu czy zlewni nie było.

— Bo nasz sołtys jak powie, że będzie tak, to żeby byk na byka lazył, musi być po jego myśli.

Pan Franciszek żaden młody — gniewny, sześćdziesiątkę przekroczył. Niski, szczupły, niepozorny z wyglądu, typ wesółka raczej, na wszelakie życia uroki otwartego, niż polityk czy myśliciel. Ale fakt, wszystkie sukcesy wsi każdy bez wyjątku jej mieszkaniec z osobą sołtysa łączy.

— On, panie, dobrze wie, co i jak. Radnym był i w PPRN i w GRN. Stałe po zebraniach. To zawsze prześpi referaty, no bo pole obrobić trzeba, choćby i nocą, a dospać też trzeba... no ale jak co ważnego uchwalić mają, zawsze się zbudzi na czas i głos zabierze. Uparty jest, żartem niby, a tak w urzędzie nadokucza, że mu zawsze ustąpią. Tak jak z tą drogą, co to będziemy ją robić już zaraz w czynie, ale z państwową pomocą.

— Widział pan u niego zabudowania? No, wszystko jak należy, nowe, przestronne, a przecież są we wsi i bogatsze gospodarze.

Oto źródła autorytetu sołtysa. Plus nowoczesny, unikalny w tych stronach styl myślenia, postępowania, życia. Franciszek Baran, korzystając z przedwiosennych luzów czasowych, wyjeżdża na urlop. Na Śląsk. Nalykać się cywilizacji, odpocząć, a przy okazji — popatrzeć jak ten świat wygląda z innej perspektywy niż ta, jaką wyznaczają opłotki rodzinnej wsi, gminy, powiatu.

— Świat jest jeden, ale wszystko w nim inne i zawsze można się czegoś nauczyć, coś podpatrzeć u innych, żeby niepotrzebnie nie wyważać potem otwartych drzwi.

Japończycy, myślę sobie, stosowali identyczną dewizę odbudowując swój dzisiejszy potencjał gospodarczy. Faktycznie — Świat jest jeden, sęk w tym, że bardzo różnicowany...

DEREWICZNA

W tej wsi zdania na temat sołtysa, Józefa Siłucha, lat 39, są podzielone. Znalazło to swój wyraz w rezultatach wyborczego głosowania w dniu 6 lutego br.: Jan Mironczuk — 33 głosy, Józef Maksymiuk — 45, Józef Siłuch — 68 głosów.

Część wsi rezultatów komasacji wybaczyć nie chce. Na poprzednią kadencję Siłucha wybierali jednogłośnie, teraz, gdy niektórych zawiodły skaleniowe rachuby, bo zawiązać wszak kogoś musiały, pękła bania z pretensjami. Nikt nie dojdzie — słusznymi czy nie. Za dużo tu szeptania, gołosłownych pomówień, aby można było oddzielić przysłowiowe ziarno od plew. Faktem jest, że wszelkie konsekwencje komasacji w świadomości wsi obciążają sołtysa. Wszak władza. W komisji też był cały czas. Aliści komisja była i odjechała. Pozostał sołtys. I pije piwo do końca.

— Ale nie narzeka. Ostatecznie ma świadomość, że wieś jemu właśnie powierzyła mandat. Po raz trzeci z kolei. Nikt zresztą sołtysowi zasług odmawiać nie zamierza, ani wieś, ani zwierzchność. Jego ruchliwa zapo-

biegłość rzuca się w oczy: szkolenia, akcje społeczne, asfaltowa droga wzdłuż wioski od szosy Radzyń—Wisznice aż po remizę, na którą to drogę wieś przeszła 2000 kubików ziemi nawiozła, a w br. dowiezie następny tyśiąc na pozostały odcinek. Chodnik też duża i niecodzienna rzecz. Dowóz dzieci do szkoły zbiorczej w Komarówce. Wreszcie rozpoczęta budowa Wiejskiego Domu Kultury...

— Z tym domem kultury — mówi sołtys — to prawdziwe przekleństwo i antypropaganda. No bo jak? Ludzie robociznę dali? — Dali. Zadeklarowali się? — Zadeklarowali. No i Zakład Remontowo-Budowlany z Radzynia partoll robotę już pięć lat.

Początek był świetny. Szybko rosły mury, ledwie fotograf historyczne momenty utrwał nadążał. A potem — zwyczajnie, opuszczona budowa niszczyć zaczęła, bez dachu, na łaskę i niełaskę aury zdana. Bo na radzyńskie przedsiębiorstwo silnych ponoć nie ma.

Więc: kołuje sołtys wokół tej budowy niefortunnej, wrzodem mu ona na wątrobie. Nie ma żartów, życie kulturalne, można powiedzieć, leży. Wieś dostatnia, zasobna, o wyższych potrzebach i aspiracjach czas myśleć. Młodzi uciekają. Komarowska gospoda nie wystarcza i daleko.

A jak gospodarzy sołtys tej wsi przodującej na swoich własnych gruntach V, IV i III klasy? Spisują z notatnika: Powierzchnia gruntów 10 ha. Obora nowa, murowana, zmechanizowana i skanalizowana. Stodoła aktualnie w modernizacji i rozbudowie. Plany inwestycyjne — w pierwszej kolejności dom z wszelkimi wygodami i traktor. Zbiory średnio 30—32 q z 1 ha, nawożenie do 200 kg NPK (odpowiednie wskaźniki w gminie: zboża 24,5 q, nawożenie 140 kg NPK na 1 ha). W ubiegłym roku dostarczył do geosowskiej buchy w Komarówce 43 sztuki trzody, w rb. planuje sprzedaż 85 sztuk. Właśnie hodowla trzody to specjalność sołtysowego gospodarstwa, najbardziej w jego warunkach opłacalna i, tak się składa, wychodząca, jak mówi, naprzeciwko postulatowi i potrzebom.

— Nasz sołtys dobry jest, bo młody jeszcze i może być innym za przykład. Każdy się może przekonać, że jak gospodarza z głową jest prowadzona, to i grosz z niej można wycisnąć. Ja też nie narzekam, w przyszłym roku czystego zysku odłożyło się w SOP-ie równo 70 tysięcy. Rychtyk na „syrenkę”. Ale kupować nie będę, bo gdzie jeździć? Wolalbym traktor...

TYLKO DOBRZE

Stanisław Harasimiuk



Trzeci z lewej — sołtys z Derewicznej Józef Siłuch przy budowie Wiejskiego Domu Kultury

KOMARÓWKA

W gminie, odkąd ludzie pamiętają, sołtysów dostarczały zawsze trzy rody: Sączuków, Hawryluków i Malaszuków. W ostatnich wyborach zwycięsko wyszli Sączukowie, ściślej Jan Sączuk, naczelnik miejscowej OSP, jak i dwaj jego wcześniej prezentowani koledzy, ZSL-owiec, radny GRN. Też z doświadczeniem trzech kadencji.

— Duża wieś, mówi, duże problemy. Wieś „gospodarowana, z niejska wyglądającymi asfaltowymi ulicami, chodnikami, z wyraźną zapobiegliwością i dbałością o estetykę — wzdłuż ulic przelotowych. Przeciwnością całkowitym tej gospodarności są peryferie, Glinki na przykład. Ich mieszkańcy dosłownie gubią w błocie kalosze; grzęzną ciągniki, a konie rwą uprzęż.

— Można by dojazd zrobić, chodniki, ale trudno u nas o jednogłośnie. Większość ma wygodę, wodę itd., to co ich obchodzi, że inni w błocie toną. Brak społecznego podejścia do sprawy. — To uczestniczący w rozmowie: Mięczyński Juszczyński. Oprócz sołtysa są jeszcze młodzi gospodarze, Roman Kalich, Ferdynand Magier, Stanisław Walma i Stanisław Cep. Podgawozowani, po niedzielniemu w sam raz do szeregów Polaków rozmowy. Sołtys replikuje:

— Mimo trudności jeszcze w tym roku będzie chodnik do liceum i wzdłuż ulicy Staszica. Uporządkowany zostanie plac Wolności, dawniejszy błotnisty rynek. I do końca br. nie pozostanie w osadzie ani jedna siećcha czy drewniany płot. W planach także budowa ośrodka zdrowia.

— W planach może tak — wtrąca Roman Kalich — bo na razie to w starym nie ma nic, ani doktora, ani dentysty. Od czasu jak dr Bortkiewicz do Lublina wyjechał, wpada do nas lekarz z Bezwoli raz na tydzień na dwie godziny, a ludzi w gminie siedem tysięcy.

— Albo hodowla — mówi F. Magier. — Wszędzie gadają i piszą, zielone światło ilpe. A ja pytam, gdzie mam paszę kupić?

Wiele zgłaszają pretensji. O młyn, który dobrej mąki nie robi mimo inwestycji milionowej (wozi się zboże do młyna w Wohyniu, 16 kilometrów). O brak gospodarności, o zaniedbania, brak środków owadobójczych. Wytykają bardzo złe usługi w kółku rolniczym, ewidentne ich zdaniem usterki w komasacji, brak jakiegokolwiek placówki kulturalnej, niedostateczne wykorzystanie błogosławieństwa w postaci kanału Wieprz-Krzna. Cała litania pretensji szczegółowych

Interesuje mnie reakcja sołtysa. Uspokaja: — Wszystko będzie. Powoli zrobimy. Sami damy od siebie, co trzeba, a państwo pomoże.

Traktują to jak unik, z niedowierzaniem. Na zbyt wielu zebraniach i spotkaniach powtarzali latami te same zalety, pretensje, postulaty. Ale do sołtysa pretensji nie mają, niewiele może, twierdzą. I równy chłop poza tym.

Dla nich sołtys pozostał stereotypem — człowiekiem od zawiadamiania o zebraniu, w najlepszym razie tym, któremu, nie facygując się do urzędu, można wpłacić raty podatku gruntowego. Przyczyn szukać w konkretnym człowieku, tradycji, nieznaności nowych uprawnień sołtysich?

— W jednym i drugim. Nowe uprawnienia sołtysa, jak ta odznaka — muszą wejść w codzienność, w krwioobieg że tak powiem. I to się właśnie dokonywa. U jednych szybciej, u innych wolniej. Zależy od ludzi. Jak wszystko.

NA początku tego Roku Jubileuszowego ukazał się w „Kamieniu” mój artykuł pt. „Sentymentalnie i... trzeźwo”, poświęcony działalności Teatru im. J. Osterwy w perspektywie XXX-lecia. Artykuł był bardziej „trzeźwy” niż sentymentalny, gdyż musiałam zmieścić w owym syntetycznym szkicu lapidarne charakterystyki

osiągnięć dziesięciu powojennych dyrekcji lubelskiej sceny dramatycznej. Dzisiaj chcę wrócić tylko do jednej z nich, do tej pierwszej, z okresu PKWN, pięknych dni odradzania się kultury polskiej, które wspominam zawsze z głębokim przeżyciem.

Chodził mi w tym wypadku o nakreślenie sylwetki człowieka, który podźwignął z ruin teatr w

Majdanka spowijające miasto... Front jeszcze był daleko, gdzieś nad Bugiem... Niemal co noc rozlegała się syrena gestapowska. Praca w kawiarni, przytłaczająca i ogłupiająca... stała się obmierzłą, nostalgiczna za teatrem tak silna, że nawet się nie zdziwiłam, kiedy mój mąż (Józef Klejer) pewnego dnia nagle rzucił bliżej nieokreślone zdanie: „Trzeba żebyśmy byli gołowi”.

Gotowi — powrócić do teatru! Zdopingowali więc Klejer i Ladosiówna do realizacji tego marzenia szczupłe grono kolegów, których wojna zaskoczyła w Lublinie. Zdecydowano się na „Moralność pani Dulskiej” — bardziej patetyczne „otwarcie sezonu”, powiedzmy „Kordianem”, było niemożliwe po prostu ze względów obyczajowych, a choćby i z braku kostiumów. Pierwsze próby odbywały się w piwnicy mieszkania Klejerów przy akompaniamencie syren alarmowych...

Aż wreszcie nastąpił dzień, kiedy można było i trzeba dotrzeć przez „front uliczny” do teatru. Pierwszy dokonał tego Józef Klejer z patrolem. Okropny był widok podwórza teatralnego: porozbijane skrzynie z kostiumami, zrzucone z ciężarówkami w momencie ucieczki Niemców, pocięte kotary, pasy tkanin zerwane z kanap — szabrownicy już zadziałali.

Nie odsyłam Czytelnika bezpośrednio do opisu Ladosiówny, bo książka „W stołecznym Lublinie” stała się nieomal białym krukiem.

Premiera „Moralności pani Dulskiej” odbyła się wieczorem 12 sierpnia 1944 roku. Na parę godzin przed nią z Resortu Kultury i Sztuki PKWN wyszło opatrzone L.p. 30/T/44 i pieczęcią pismo:

Do
Pana Klejera Józefa
Lublin

Polecam Panu prowadzenie TEATRU
MIEJSKIEGO w Lublinie.

SZEF WYDZ. TEATRALNEGO
POLSKIEGO KOMITETU WYZWOLENIA
NARODOWEGO
(WOŁOWSKI T.)



JÓZEF KLEJER

Maria Bechezyc-Rudnicka

Lublinie, pierwszy teatr polski po pięciu latach niewoli. Mówię o niedawno zmarłym wybitnym aktorze i reżyserze Józefie Klejerze.

Wychowanek Juliusza Osterwy, aktor jego wileńskiej Reduty szczęśliwym dla Lubelszczyzny trafem — znalazł się Józef Klejer, w czasie okupacji, na terenie Lublina Stał się tu mężem opatrnościowym dla początków życia teatralnego.

Zona Klejera, również znana aktorka i reżyserka, Irena Ladosiówna, pisze m. in. w zbiorowym tomie wspomnień „W stołecznym Lublinie”: Czerwiec 1944... Wszyscy byliśmy już u kresu sił fizycznych i wytrzymałości nerwowej. W atmosferze ogólnej wyczuwano się, że „to” musi się już skończyć. Lapanki, rewizje, aresztowania, coraz krwawsze wiadomości z „Zamku”, coraz gęstsze dymy

Dokończenie ze str. 1

wentyl bezpieczeństwa, rozładowujący ogromne napięcie, jakie wytwarza się w owym czasie w uczelni. Żyje się jak w transie. Z jednej strony studenci wysilają całą pomysłowość, aby zgłębić osobowość profesorów, obnażyć ich słabe punkty — humory i przyzwyczajenia, co daje możliwość psychologicznego podejścia do egzaminatora i pozwala na jak najkorzystniejsze sprzedanie posiadanego zasobu wiedzy. Z drugiej strony profesorowie czują się w tym starciu jakby odmłodzeni i zaczynają płatać studentom figle, które z biegiem lat obrastają w legendę.

Za moich czasów studenckich słynna była na lubelskiej Akademii Medycznej postać profesora Jawłowskiego, który kochał się w kolorze błękitnym. Panowało ogólne przekonanie, że przyjście na egzamin w błękitnej koszuli lub sukience jest rękojmią sukcesu. Na giełdzie, pod drzwiami gabinetu, pożyczano sobie koszule, a panienki w bardzo ustronnym miejscu zamieniały się bluzkami i sukienkami. Profesor był dobrotliwym starszym panem, potrafiącym błysnąć ciętym dowcipem. To on właśnie kazał studentowi, który przyszedł na egzamin w spodenkach harcerskich, przeskoczyć kilka razy przez wysunięte na środek gabinetu krzesło, a później oświadczył spokojnie: „Egzamin z gimnastyki skończony. Teraz pójdzie pan do domu, włoży długie spodnie i stawi się na egzamin z biologii.”

Na weterynarii profesor anatomii topograficznej, Lutnicki, charakteryzujący się wybuchowym usposobieniem, zwykł był pod koniec sesji spacerować po korytarzu i mówić głośno do siebie: „Tylko spokojnie, Witus... już nam tylko kilka dni zostało do końca tej męki!” Jego pozornie nielogiczne pytania, których obawiano się jak ognia, miały zmusić studentów do myślenia. Giełda pod jego drzwiami zaliczała się zawsze do największych. Kiedy szalał i tupał nogami, wiadomo było, że wszystko idzie dobrze i jest szansa na uzyskanie zaliczenia. Natomiast gdy profesor robił się słodki i wylewny — sytuacja nieuchronnie dojrzywała do dwójki.

Ulubionym pytaniem profesora Lutnickiego z gatunku tzw. haczyków było: „Do czego służy Kregoskopus?” Odpowiedź znaly całe pokolenia weterynarzy, ale każdy ze

studentów milczał w tym momencie jak zaklęty. Po długiej chwili profesor odchyłał się głęboko w tył na fotelu, wbił w świdrujące spojrzenie w twarz delikwenta i wypalał z satysfakcją: „Żeby dupy na szelkach nie nosić!” Po czym, zadowolony z efektu, z zasady stawiał trójkę.

Ten piękny barwny obraz życia wyższych uczelni należy już do przeszłości. Świat toczy się w przyspieszonym tempie, a zwiększają-

skiej. Szczególnie na kierunkach matematycznym, fizycznym, chemicznym poziom jest tak wysoki, a nawał materiału tak wielki, że spora liczba młodzieży sama rezygnuje ze studiów, jeszcze przed pierwszym egzaminem. W Dziale Nauczania UMCS uważa się, że ogólnie wyniki sesji są nie najgorzej i że w stosunku do poprzednich lat sytuacja ulega nawet poprawie. A jest to przecież rok akade-

dium plus premia naukowa) i takich studentów jest na UMCS kilkunastu. Niebagatelną też rzeczą jest fakt, że absolwent kończący wyższą uczelnię z wyróżnieniem otrzymuje nagrodę w wysokości 3 tysięcy złotych. UMCS zaczyna, niezależnie od tych zainteresowań natury fiskalnej, rozkręcać na wielką skalę sprawę współzawodnictwa, pobudzania ambicji studentów przez wprowadzanie szeregu pomysłów inicjatyw, jak pochwalne adnotacje w indeksach, specjalne dyplomy uznania dla najlepszych, wpisy do pamiątkowej Złotej Księgi Roku itd.

Tylko, że to wszystko nie zmienia faktu, iż sytuacja studentów pierwszego roku jest wyjątkowo ciężka i to oni najczęściej ulegają skomplikowanemu nerwicom, w skali dotąd jeszcze nie notowanej.

Odwiedzam Poradnię Zdrowia Psychicznego działającą przy Akademickiej Przychodni Zdrowia. W gabinecie psychologa młody chłopak, student I roku weterynarii, bledzi się nad skomplikowanym testem. Nie zdał ani jednego egzaminu w swojej pierwszej w życiu sesji i teraz grozi mu odejście z murów uczelni. Sam dziekan doradził — jako ostateczny ratunek — poddanie się testom na inteligencję i zdolności naukowe. Jeżeli wypadną pomyślnie, przed studentem rysuje się możliwość otrzymania, wyjątkowo, urlopu dziekańskiego. Psycholog i neurolog będą następnie badać przyczyny, z powodu których nie wyduślił ani słowa podczas egzaminów, chociaż — jak twierdzą koledzy — miał dobrze opanowany materiał, i zrobią wszystko aby wyciągnąć go z impasu.

Do spraw zupełnie normalnych zalicza się fakt, że dwudziestoltni mężczyzna potrafi popłakać się przed lekarzem lub psychologiem i wyznać nagle, że w gruncie rzeczy to brak mu matki, która została w odległym o kilkaset kilometrów miasteczku i nie może go pocieszyć, kiedy dostał ocenę niedostateczną. Przez wiele miesięcy stałym gościem przychodni był młody człowiek, który radził się czy ma się umówić na randkę z dziewczyną oraz jaką koszulę i krawat włożyć.

Codziennie przez gabinety przychodni przewija się około 30 osób. W okresie sesji egzaminacyjnej jest ich już 50—60. Najczęściej notowane przypadki to nerwice, psychozy i różnego rodzaju anomalie charakterologiczne. Najczęstszy problem, z którym przychodzi student, to brak wiary w siebie.

Liczba młodych ludzi zwracających się z prośbą o pomoc zwieksza-

SESJA

NERWICOWCÓW?

ca się z roku na rok liczba studentów i skrócony ostatnio okres studiów wpływają na fakt, że student staje się nierzadko pojęciem statystycznym, a proces studiów — odarty z otoczki romantyzmu. Ale mimo wszystko, jak dawniej, pierwsze zetknięcie się studenta z uczelnią, pierwsza sesja egzaminacyjna pozostały największymi przeżyciami młodego człowieka, jego wielką próbą ogniową.

Jeżeli brać pod uwagę tylko suche liczby, pozornie wszystko wygląda w porządku. Na przykład na największej lubelskiej uczelni, Uniwersytecie im. Marii Curie-Skłodowskiej, na 5192 osoby tylko 201 nie zostało dopuszczonych do ostatniej sesji zimowej. Kiedy jednak spojrzysz na statystykę dotyczącą pierwszego roku, sytuacja przedstawia się zupełnie inaczej.

Na 1771 studentów nie dopuszczono do sesji 121 osób, to znaczy około 60 proc. wszystkich nie dopuszczonych. Do zdawania sesji poprawkowej w pierwszym terminie „zakwalifikowało się” 563 studentów, a ilu z nich będzie jeszcze czekał drugi, ostateczny termin? Najwięcej tragedii zdarza się na naukach ścisłych i na filologii angielskiej.

międl bardzo istotny, będący sprawozdaniem reform wprowadzonych na wyższych uczelniach w całym kraju.

Na przykład w pełni święci triumfy sprawa „olimpijczyków”, zwycięzców szkolnych olimpiad naukowych, którzy mają prawo dostania się na uniwersytet bez egzaminów. Z dziesięciu studiujących na UMCS tylko jeden nie zaliczył sesji, pozostali radzą sobie na obranych kierunkach bardzo dobrze.

W ramach reformy dano też możliwość każdemu liceum wytypowania 2 prymusów, również przyjmowanych bez egzaminów wstępnych. Dane z ubiegłego roku wykazują, że z grupy 33 prymusów nie utrzymało się tylko dwoje, reszta ma doskonale wyniki, a większość otrzymuje stałe premie i nagrody. Zresztą ogół studentów przykładają się coraz chętniej do pracy dzięki sensownie pomyślanej reformie stypendialnej z marca ubiegłego roku, w myśl której student jest m. in. zainteresowany materialnie w zaliczeniu sesji z ocenami dobrymi i bardzo dobrymi. Stypendysta legitymujący się bardzo dobrymi wynikami nauki może otrzymywać nawet 2.200 zł miesięcznie (stypen-

Bogusław Wróblewski

Tadeuszowi Nowakowi

Gdzie jabłonie słodkopiennie
Pieści uзда purpurowa
Przybiegniemy kiedyś miła
Słodki proch z ich pni szałować

Otworzymy jednym cięciem
naszej obosiecznej dłoni
zaszaplany w węzeł jabłka
Rajski owoc tych jabłoni

Komu uszy wrota wiary
Niech się wsłucha w nasze ciała
Komu oczy źródła natchnień
Niechaj patrzy na nasz związek
Komu dłonie konwie chwytnie
Niech odejdzie precz z ogrodu
Komu nogi starcze kule
Niech wypełnie poza światło

Więc przerwijmy białe smycze
By uwolnić niewidomych
I nakażmy szeptać rybam
By wyzwolić głuchoniemych
Zawróćmy każde słowo
Zatrzymamy je u źródła
Pokażemy wielkim trawom
Świat widziany okiem żuka
Pokażemy wielkim żukom
Świat widziany okiem mrówki
Pokażemy wielkim mrówkom
Świat widziany naszym okiem

Już się oczy rozsypują
Od wierzchołków jasnej tęczy
Już się usta rozwierają

Od milczenia twardej skały
Już się dłonie rozplatają
Od uścisku mroźnej próżni
Już jaskółki niebo koszą
Zeby zwiędł przed pierwszym deszczem

Oto drżąca wnąka ciała
Na pożarcie szorstkim zmarszczkom
Oto ostra biel widzenia
Na stępienie dziennym światłom
Oto nasza pieśń wieczorna
Na zatarcie wiernym snom
Oto wszystkie nasze sprawy
Których będą przecież jedno
gdzie jabłonie słodkopiennie...

Tutaj cisza
wysławia się na zielono.
Drzewa z nadszarpiętym na starość zdrowiem
w nieruchomej ucieczce przed wiatrem
rozczerniają na stowie żyłaste lustro.
Zdźbła traw
bez przekonania
dopieszczają się wzajemnie.
Ptaki rozdziwiają się całe
do zbyt wielkiego kęsa słońca.
Nawet mrówka ma czelność
brać udział w bezruchu
który może być pędem
z mrówczego punktu widzenia.
Pijany chłop
rzeźbi konia
wściekłym batem.

I był to początek stałej działalności powojennego lubelskiego teatru dramatycznego.

Zanim zespół Józefa Klejera został wcielony do Teatru Wojska Polskiego pod dyktando Władysława Krasnowieckiego, wystawił w okresie od 12 sierpnia do 29 listopada 1944 r., oprócz „Moralności pani Dulskiej”, jeszcze cztery sztuki: „Jeńców” Rydla, „Muzykę na ulicy” P. Schureka (w polskiej adaptacji Hemara), „Grube ryby” Bałuckiego i „Przeziębłą” Zeromskiego. Józef Klejer sam wyreżyserował dwie pozycje, grał zaś Slepca — lirnika w „Jeńcach”, Wistowskiego w „Grubych rybach”, w „Przeziębłą” — Przełęckiego.

Przyjechałszy do Lublina dopiero 1 października 1944 r., początkowo zaabsorbowana, w charakterze zastępcy kierownika Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki, kłopotami administracyjnymi, nie miałam możliwości zbliżyć się specjalnie do teatru. Przyszli na to czas, kiedy zaczęłam pisywać recenzje w dwutygodniku „Zdrój”. Wtedy zwróciłam uwagę na Józefa Klejera jako utalentowanego artystę. Było to już za dyktando Antoniego Różyckiego, w r. 1945. Józef Klejer grał we Fredrowej „Zemście” Rejenta. Została mi w pamięci jego wyborna „maska”, podobano się, że się wyżył konwencjonalnego demonizmu, tworząc żywą postać swojskiego zaciętego obłudnika, „tęgiej głowy”. Pamiętam też m. in. z tego okresu rolę Klejera w „Nadziei” Heijermanna, gdzie pokazał bardzo interesującą postać zahukanego buchaltera, w którym strach przed utratą posady nie zagłuszył całkowicie zmysłu krytycznego.

Bodaj od r. 1947 straciłam kontakt z Klejerem. Dobywały mnie tylko słuchy o jego warszawskich sukcesach na scenach Miejskich Teatrów, potem w Teatrze Narodowym, Ateneum, ostatnio Ludowym. Grał Argana w „Chorym z urojenia”, Podkolesina w „Ożenku” Gogoła, Botwela w „Marii Stuart” Słowackiego, Dauma w „Pannie Maliczewskiej”, Venture'a w „Sulkowskim” itd., itd.

Rzetelnym, ofiarnym Artystą był Józef Klejer. Z głębokim żalem stracił nadzieję spotkania Go na lubelskich obchodach XXX-lecia, na których należało Mu się jedno z pocześniejszych miejsc, jako Pierwszemu Organizatorowi życia teatralnego w wyzwolonym Lublinie.

sta się z roku na rok, co świadczy wprawdzie o wzroście zaufania do lekarzy i pozbywaniu się fałszywego wstydu, ale zarazem zwraca uwagę na coraz bardziej ostro występujące zagadnienie zagubienia się i trudności adaptacyjne w nowym środowisku.

Ogólna Poradnia Zdrowia Psychicznego przy ul. Buczka w Lublinie udzieliła w 1968 r. 123 porad dla studentów, akademicka poradnia w roku 1972 notuje 3 300 porad. Jeżeli chodzi o badania psychologiczne, w tym samym roku przeprowadzono ich 869.

Współczesna młodzież — twierdzą lekarze i psychologowie — jest mniej dorosła i dojrzała niż jeszcze kilkanaście lat temu. Szczególnie młodzież z pierwszych lat studiów. Są to ludzie bezsprzecznie bardziej zdolni i inteligentni od swoich rodziców w tym wieku, ale umiejętność panowania nad uczuciami, radzenia sobie w trudnościach życiowych, to, co stanowi o dojrzałości do istnienia jako samodzielny człowiek, jest u nich ledwie wykształcona. Jeżeli dołączymy do tego wszystkiego czynniki stressujące na wyższej uczelni, szczególnie jaskrawo występujące na pierwszym roku studiów, to nic dziwnego, że mamy tak wielu petentów — jak my ich tutaj popularnie nazywamy — i że ich liczba stale wzrasta. Jako społeczeństwo zdolaliśmy rozwinąć procesy poznawcze u człowieka, ale sfera emocjonalna, dojrzałość społeczna, są w stosunku do nich w rażącej dysproporcji. Niedojrzałość uczuciowa rodzi niepewność wobec siebie, a w konsekwencji prowadzi do różnych stanów nerwicowych. Przejawiają się one w odczuwaniu stałego napięcia i niepokoju.

W ubiegłym roku psycholog poradni akademickiej, mgr Aleksandra Dominko, poddała badaniom psychologicznym cały rocznik Wydziału Humanistyki — 371 osób. Ogromna większość, 83 proc., wykazuje wysokie możliwości intelektualne. Ale z tej liczby zaledwie 28 proc. studentów jest dojrzałych emocjonalnie. W tej samej grupie u 22 proc. stwierdzono tzw. znaczny niepokój, a u pozostałych niepokój niewielki, kształtujący się w granicach od 66 do 97 punktów, podczas gdy granica normalnego egzystowania w społeczeństwie wynosi maksimum 65 punktów.

I tutaj największy problem: właśnie ci nerwicowcy, najbardziej sprawni intelektualnie, najłatwiej ścinają się na egzaminach i mają największe szanse „wyskoczenia” z uczelni.

Kolejny paradoks: moment zakończenia okresu dorastania psychologowie przesuwają dzisiaj do 25 roku życia. Inaczej mówiąc, pan magister dopiero po dwóch latach pracy staje się całkowicie dorosły.

Jak wobec tego traktować dziewiętno- i dwudziestolatków, przychodzących na studia ze świadectwem dojrzałości w kieszeni? Jako uczniów? Jako podrostków?

Tak to wszystko wygląda w spojrzeniu specjalistów. Ale i pedagodzy nie mniej ostro dostrzegają te problemy. Kierownik katedry filologii angielskiej, prof. dr Henryk Zins, gdzie pierwszy termin zimowej sesji egzaminacyjnej przyniósł prawdziwy pogrom (na I roku na 79 słuchaczy dopuszczono do sesji tylko 67, a w pierwszym terminie zaliczyło ją zaledwie 39 osób!) zwraca uwagę na niedojrzałość młodzieży

i jej nerwowość. Tego samego zdania jest dziekan Wydziału Humanistycznego — doc. dr Stanisław Tworek.

Chyba jedyne wyjście to uświadomienie sobie przez studentów od razu, od pierwszego roku studiów, że przy szalonej intensyfikacji procesu nauczania niemożliwe jest najniższe nawet zaniedbywanie się w nauce. Tylko konsekwentna, systematyczna praca może przynieść pozytywne wyniki. Bezpowrotnie minął okr. objawia się na studiach. Nawet na najbardziej dotychczas „luźnych” studiach humanistycznych.

To, czego jeszcze niedawno student miał nauczyć się w ciągu dwóch semestrów, obecnie musi zrobić w ciągu jednego. Ogromny zakres wiedzy z historii starożytnej, rozłożonej dawniej na cały rok studiów, dzisiejszy student historii winien przyswoić sobie w ciągu pierwszego semestru, i tak dalej, i tak dalej...

— Czy wobec tego wyższa uczelnia nie zaczyna przekształcać się w „szkółkę”, biorąc pod uwagę oprócz nawału pracy, jeszcze ową niedojrzałość młodzieży? — pytam dziekana Tworka.

— Na pewno w ciągu dwóch pierwszych lat studentem pozostaje niewiele czasu na samodzielne myślenie. Ale problem, budzący niepokój wśród niektórych pedagogów, tkwi gdzie indziej: czy skrócony okres studiów nie odbije się na poziomie prac magisterskich? O tym, oczywiście, przekonamy się dopiero za cztery lata.

— A sprawa nerwic?

— To jest problem, który dotknął w dzisiejszych czasach całą społeczność ludzką. Zaświadczenia lekarskie sypały się przed każdą sesją jak świat światem. Ale ostatnio coraz więcej zaświadczeń komisji lekarskich zalecających nawet przerwę w studiach ze względu na nerwicę sytuacyjną i lękową. Najważniejsze chyba, że uczelnia to dostrzega i jak mogą iść na rękę studentom. Trudno, musimy żyć w takim świecie, jaki nas otacza.

Jak to dobrze mieć jednak świadomość, że dane mi było studiować w dawnych, dobrych, spokojnych czasach, które nazywano trudnym okresem powojennym.

Mirosław Derecki



Quizy i lekarstwem na stresy?

Fot. A. Kargol

GDYBY holenderski robotnik Harmen Huisman nie zainteresował się trzydziści lat temu zbiegowiskiem na moście w swoim rodzinnym mieście Sneek we Fryzji, życie jego nie wyszłoby prawdopodobnie poza ramy zwykłej codzienności. Jeden krok w stronę współzmienników otaczających żołnierza w znieprawionym mundurze koloru feldgrau spowodował łańcuch następstw, uwiecznionych u schyłku życia odkryciem nieznanego, nadbałtyckiego kraju, który nazywa się Polska. Przede wszystkim zaś danym mu było poznać smak prawdziwej przyjaźni, nie liczącej się ani z upływem czasu, ani z granicami zakreślonymi przez polityków.

Huisman ma dzisiaj ponad siedemdziesiąt lat. Zaczynał pracę jeszcze przed pierwszą wojną światową jako goniec w magazynie mebli. Później był górnikiem, robotnikiem portowym, budowlanym, wreszcie pracownikiem gminnym. Dopiero po prze-

bieło więc buntownicze, gorące, polskie serce. Chętnie opowiadał nam, jak Niemcy postępują w Polsce — palą, mordują, rabują i torturują ludzi, uprowadzają młodych chłopców i dziewczęta. Poruszony tą opowieścią, zaprosiłem go i jego kolegę, również Polaka, do mojego domu na kawę. Kiedy przechodziliśmy przez miasto, na ich twarzach widać było wzruszenie.

Jeden z Polaków nazywał się Benedykt Jarzyński. Szybko zaprzyjaźnił się z Huismanem, a po kilku dniach zwierzył mu się, że wraz z innymi rodakami z tutejszego garnizonu planują ucieczkę i prosił o pomoc.

Wkrótce po mieście rozeszła się wiadomość, że niemieccy żandarmi z psami poszukują dziewięciu zbiegłych z Wehrmachtu Polaków. Między innymi poszukiwano również Jarzyńskiego, którego ukrywał w swoim domu Huisman. W sprawę niesienia

Leeuwarden, albo poczta Sneek — ulica Wasserstrasse". Pewien nauczyciel przestudował nam ten list, odpisał mi Kazimierzowi i wrócił już prowadziliśmy ożywioną korespondencję. Pewnego razu napisał: „Nie moglibyście nas odwiedzić w Polsce? W chwilę później odpisywałem mu: „Przyjeżdżamy”.

I tak oto zaczyna się pierwsza „awanturyczna wyprawa” państwa Huismanów do nieznanej Polski, wyprawa podejmowana z uczuciem niemałej emocji, i ze względu na odległość, i wiek obojga małżonków, i ciekawość jak to jest w tym „komunistycznym” kraju. Huisman skrzętnie notuje wszystkie spostrzeżenia, a trzeba przyznać, że jest inteligentnym obserwatorem. Swoją drogą zabawne, jak styl owych notatek przypomina chwilami dziewiętnastowieczne diariusze podróżników, udających się z Londynu lub Paryża gdzieś na Syberię albo na Daleki Wschód...

„W końcu lipca 1965 r. wybraliśmy się do Polski. Do Poznania zajechaliśmy bez specjalnych tarapatów. Zaczęły się one dopiero później. W Poznaniu wsiedliśmy do innego niż należy pociągu i musieliśmy trzykrotnie przesiadać się aby dojechać do Polczyna Zdroju, gdzie mieszkał Muller. Ale pod koniec dnia zacząłem sobie zdawać sprawę, że na miejsce dzisiaj chyba nie dojedziemy. W miejscowości Grzmiąca poszliśmy do naczelnika stacji z pytaniem, co robić, bo żaden pociąg już do Polczyna nie odchodził. Naczelnik dał nam dwadzieścia złotych na kolację — nie zdążyliśmy wymienić pieniędzy — i doradził: „Przejdźcie się w wagonie stojącym na bocznicy, a rano pojedziecie dalej”. Tylko zdążyliśmy wsiąść do przedziału, kiedy wszedł jakiś konduktor pytając, czy jesteście Holendrami i gdzie chcecie jechać. Powiedziałem, że do Polczyna Zdroju. A kogo macie znajomego w Polczynie, bo ja tam właśnie mieszkam? Odrzekłem, że jedziemy do Kazimierza Mullera. Popatrzył na mnie zdziwiony: „A to macie pecha, bo on właśnie przeprowadził się do Barzkowic”. Zaraz jednak pocieszył nas mówiąc, że do Barzkowic blisko i sam nas tam odwiezie.

W niedzielę rano (godzina szósta) zobaczyliśmy coś, co wydawało się nam nieco osobliwe. Kilkunastu mężczyzn w roboczych ubraniach piło jedną butelkę piwa za drugą. Przy każdej kolejnej butelce podawali sobie ręce i wznosili toast. Kiedy o godzinie dziewiątej wychodziliśmy ze stacji, „uroczystość” jeszcze trwała...”

Wreszcie Huismanowie dotarli do Barzkowic, gdzie Muller pracował w Rolniczym Rejonowym Zakładzie Doświadczalnym.

„Tak oto przyjechaliśmy do tego wielkiego gospodarstwa rolnego o powierzchni 3 tys. ha. Przy drodze wielki pałac, w którym mieszkali niegdys właściciele majątku. Dookoła wspaniałe ogrody. Muller wychodził na nasze spotkanie. Powitanie jest bardzo serdeczne. Przyjęcie i świąteczny nastroj przeciąga się aż do wieczora.

W Barzkowicach w skromnych domkach mieszka osiemdziesiąt rodzin. We wsi jest jeden kościół i jeden mały sklepik. Dzieci chodzą do szkoły do sąsiedniej wioski. Pomimo niewątpliwych niedostatków, w których muszą żyć, są to wspaniali ludzie. Nigdzie nie spotkaliśmy tego „przygnębienia i zniechęcenia”, o których tak często pisze się i mówi u nas w Holandii. Na przykładzie tego gospodarstwa muszę stwierdzić, że właśnie ci ludzie, żyjący wśród mniejszych wygód niż my — są szczęśliwsi od nas. To, że ludzie żyją tutaj ciągle jeszcze stosunkowo skromnie, nie jest rzeczą dziwną. Należy pamiętać o dwóch wojnach

HISTORIA PEWNEJ PRZESYŁKI

ficiu na emeryturę wyruszył wraz z żoną w pierwszą w życiu podróż zagraniczną, na „awanturyczną wyprawę” — jak to określa — do Polski. Swoje wrażenia spisał w obszernym wspomnieniu, które jest dla nas tym ciekawsze, że czytając je, nie tylko oglądamy Polskę oczyma zwykłego człowieka z holenderskiej prowincji, ale zarazem możemy prześledzić, jak nasz podróżnik konfrontuje swoje wiadomości o kraju socjalistycznym wyniesione z Holandii z tym, co sam zobaczył w Polsce. Na załączonym do wspomnienia zdjęciu widzimy Huismana na moście w Sneek, od którego zaczęła się jego największa w życiu przygoda. Po dziś dzień zresztą pełni Huisman funkcję pomocnika strażnika owego mostu.

„W latach wojny byłem dozorcą mostu „Leeuwerder brug” w miejscowości Sneek. Na moście tym stał jak kamienny posąg niemiecki wartownik. Nikt z mieszkańców miasteczka nawet nie spojrział na niego. Pewnego razu ten wartownik znikł. Żołnierza, który zajął jego miejsce, otaczała liczna grupa ludzi. Chciałem się dowiedzieć o co tam chodziło. Okazało się, że wartownik jest jednym z Polaków, których Niemcy siłą wcielili do Wehrmachtu. Pod niemieckim mundurem

pomocy uciekinierom było zresztą zaangażowanych wielu mieszkańców Sneek.

„Jeden z moich znajomych przyszedł do nas i oświadczył Jarzyńskiemu, że musi bezwzględnie stosować się do wszystkich naszych wskazówek, bo inaczej zarówno on jak i my możemy wpaść w ręce Niemców. Wkrótce dowiedziałem się z poufnych źródeł, że przyjaciel Jarzyńskiego, Kazimierz Muller, nie zdążył się ukryć w porę, został schwytany i poddany torturom, aby zdradził miejsce ukrycia kolegi, a wreszcie rozstrzelano. Okazało się jednak po latach, że Kazimierz wytrzymał tortury; nie rozstrzelano go, lecz wysłano na front i ostatecznie wojnę przeżył”.

Jarzyński czekał w ukryciu do końca okupacji, wrócił do Polski i wkrótce Huisman otrzymał od niego dwa listy. Później jednak kontakt urwał się i z upływem czasu cała historia zaczęła pokrywać się w Sneek mgłą zapomnienia. Upłynęło niemal osiemnaście lat, gdy w domu Huismanów pojawił się listonosz z listem z Polski. Był rok 1963. Nadawcą był Kazimierz Muller.

„Jak czuliśmy się w tym momencie, nie potrafię tego opisać. List zaadresowany był następująco: „Pan Huisman — poczta Groninig albo poczta

PRAWNICY powiadają od czasów rzymskich: nieznanomość przepisu nie zwalnia od odpowiedzialności za złamanie przepisu. Ekonomisci powiadają dzisiaj: jeżeli chcesz się stosować tylko do przepisu, lepiej zmień rodzaj pracy. Nasza gospodarka jest właśnie bowiem na etapie zasadniczych zmian, w których funkcja przepisu gwałtownie maleje, natomiast w równym stopniu rośnie rola samodzielnego myślenia. Pod warunkiem, oczywiście, że myślenie — ekonomiczne, techniczne i organizacyjne — oparte jest o solidną wiedzę, jak również o warunki, w których się działa.

Nowy system gospodarowania w roku ub. obejmował w naszym województwie zaledwie cztery przedsiębiorstwa, ale były to nasze olbrzymy, dające w sumie 20 proc. wartości produkcji rynkowej. Pod koniec roku bieżącego takich przedsiębiorstw będzie już około 60, a dają one ponad 80 procent tego, co trafi na rynek i na eksport. Warto tu podkreślić, że przyjęcie nowego systemu przez jakiegokolwiek przedsiębiorstwo jest całkowicie dobrowolne i jedynym warunkiem jest tylko to, aby się odpowiednio przygotować. Dyrektor ekonomiczny WSK w Świdniku, mgr R. Bosak, na podstawie własnego doświadczenia twierdzi, że przygotowanie takie musi potrwać 6—8 miesięcy i że najtrudniejszą rzeczą, ale bezwzględnie konieczną, jest zapoznanie załogi z nowym systemem. Jeżeli ekonomiści, inżynierowie, majstrowie i robotnicy nie będą wiedzieli, „jak i z czym to się je” — lepiej do całej sprawy się nie zabierać.

A rzecz polega na tym, że przedsiębiorstwa inicjujące — tak nazwano te, które pierwsze wprowadzają nowy system — stają się w praktyce rzeczywiste jednostkami niemal w pełni samodzielnymi. To „niemal” stanowi pewne ograniczenie, będące pochodną zasadniczych potrzeb ogólnokrajowych czy powiązań kooperacyjnych z innymi krajami.

Gdy się stoi, albo leży,

Np. w Świdniku dotyczą one tylko produkcji lotniczej, natomiast motocykle, pompy, sprzęgła czy odkuwki leżą już całkowicie w gestii przedsiębiorstwa.

Samodzielność zaś polega na tym, że objęte nowym systemem przedsiębiorstwa nie otrzymują już od swoich zjednoczeń czy ministerstw pakietu wskaźników dyrektywnych, określających dotychczas kierunek i zakres wszelkich decyzji, a tylko nieliczne parametry, które są źródłem samodzielnego decyzji przedsiębiorstw w bieżącej działalności. Niezwykle ważne jest to, że owe parametry określa się z góry na trzy lata. Odpada więc coroczne dotąd „handyrczenie się” o wskaźniki, co normalnie od października do marca pochłaniało najwięcej czasu i energii kierownictwom przedsiębiorstw, a pracowników wykonawczych zmuszało do trzy-pięciu, a nawet siedmiokrotnego sporządzania planów, które potem i tak jednym poleceniem zjednoczenia bywały zmieniane.

Ale na czym polega parametryczny system kierowania przedsiębiorstwami? Weźmy dla przykładu sprawę funduszu płac, zawsze najbardziej drażliwą. W dotychczasowym systemie jego wysokość była z góry określana niemal co do złotówki, tak samo co do jednego pracownika zjednoczenie określało liczbę zatrudnionych i to z podziałem na pracowników inżynieryjno-technicznych, administracyjnych, grupy takiej i innej. Jeżeli wartość produkcji mogła być lub była wyższa od zaplanowanej nawet o połowę — uzyskanie zgody na podwyższenie funduszu płac czy limitu zatrudnienia leżało raczej w sferze marzeń. A już całkiem niemożliwe było zastąpienie pracy jakiejś maszyną prac ludzką, chociażby to się bardzo opłacało finansowo czy jakościowo.

W nowym systemie nie istnieją żadne limity funduszu płac i zatrudnienia. Nie oznaczają to naturalnie zaprowadzenia całkowitej dowolności. Ja-

ko podstawę przyjęto rok, poprzedzający wprowadzenie w danym przedsiębiorstwie nowego systemu. I teraz za każdy procent produkcji dodanej (przypomnijmy: wartość produkcji sprzedanej własnych wyrobów i usług pomniejszona o wartość zużytych materiałów, podatku obrotowego, spłaty kredytów inwestycyjnych oraz kosztu energii innych usług) — otóż za każdy procent produkcji dodanej fundusz płac zwiększa się automatycznie o około 0,4 procent (około — bo dla każdego przedsiębiorstwa określa się go osobno, a różnice mieszczą się w setnych lub nawet tysięcznych częściach procentu). Potem przedsiębiorstwo ma wolną rękę: albo podniesie płace już zatrudnionej załogi, albo przyjmie nowych pracowników. Może wreszcie wprowadzić tymczasowe dodatki do płac, które jednak po dwóch latach stają się integralną częścią stałego wynagrodzenia, już nie dająca się zmniejszyć.

To tylko jeden z elementów nowego systemu gospodarowania — podobnych jest więcej, nie tu jednak miejsce na ich szczegółowe relacjonowanie. W sumie zaś chodzi o to, aby przedsiębiorstwa — dając coraz większą i lepszą produkcję przy wciąż wzrastających zarobkach załogi — osiągały systematycznie większy zysk. Chodzi o to, aby owe przedsiębiorstwa dawały społeczeństwu więcej, niż od niego pod różną postacią biorą. W konsekwencji taki zysk będzie swego rodzaju dochodem narodowym przedsiębiorstwa, zaś suma tych mini-dochodów przedsiębiorstw będzie składała się na to, co nazywamy dochodem narodowym.

No, ale dosyć teoretyzowania, z konieczności uproszczonego. Warto przyjrzeć się chociaż z grubszą wyliczniczką, jakie w nowym systemie osiągnęły już lubelskie przedsiębiorstwa.

Zamojskie Fabryki Mebli istnieją lat kilkanaście, ale nigdy dotąd nie miały jeszcze tak pięknych wyników: produkcja dodana w roku 1973 w porów-

światowych, szczególnie o ostatniej, podczas której cały kraj został doszczętnie zrujnowany.

Nasz przyjaciel, Kazimierz Muller, skończył po wojnie szkołę rolniczą i w Barzkowicach pracuje jako agronom. Poznaliśmy też tutaj panią Ligeman, która chętnie ofiarowała się jako tłumaczka.

Relację z pobytu w Barzkowicach Huisman kończy zdaniem: „Spędziliśmy dwa tygodnie wspaniałych wakacji”.

Podczas pobytu w Polsce Huisman stała się myśl, aby odszukać Jarzyńskiego, po którym wszelki ślad zaginął. Szukał go od dawna i Muller, ale bez rezultatu. Po powrocie do Holandii Huisman prowadził nadal poszukiwania za pośrednictwem organizacji „Stichting 1940—1945”, skupiającej byłych członków ruchu oporu w Holandii. Dopiero sekretarka Holenderskiego Czerwonego Krzyża, p. Geritsma, zdołała ustalić miejsce pobytu Jarzyńskiego. Okazało się, że mieszka on w Gdyni.

„Nasza radość nie miała granic — notuje Huisman — Jarzyński to naprawdę wspaniały i szlachetny człowiek. Teraz już bez przeszkód nawiąaliśmy kontakt listowy, a w 1968 r., tym razem na zaproszenie Benedykta Jarzyńskiego, wyruszyliśmy po raz drugi do Polski. W Poznaniu spotkaliśmy naszego starego znajomego, konduktora z Polczyna Zdroju, wraz z dwiema córkami, które nam wręczyły kwiaty. Oświadczył, że bezapelacyjnie musimy najpierw jechać z nim do Polczyna.”

Przez cały czas pobytu w domu konduktora odnosił człowiek wrażenie, że bezustannie odbywa się tam wesele. Piliśmy wódkę w małych kieliszkach, popijając wodą mineralną. Wódkę pije się jednym haustem. Goście stukają się kieliszkami i wznoszą toasty. Nie widziałem, żeby się ktoś przy tym upił. Zwiedzając miasto byłem zdumiony, jak się ono w ciągu trzech lat zmieniło i wyładniało. W 1965 roku Polczyn Zdrój wyglądał tak, jak gdyby przez tysiąc lat nie się tam nie działo. Teraz to naprawdę piękne miasto. Wspaniały park, sanatorium.

Z Polczyna wyruszyliśmy wreszcie do Gdyni. Musieliśmy jednak przyrzec, że bezwarunkowo tu jeszcze wrócimy. Przyrzekliśmy tym chętniej, że już od dawna byliśmy zaproszeni do odwiedzenia Barzkowic przez tamtejszego dyrektora. Muller już w Barzkowicach nie mieszkał, przeniósł się do Łobezia.

Tego samego dnia, o godz. 23, zajechaliśmy do Gdyni. Na dworcu zwróciłem natychmiast uwagę na człowieka stojącego przy okienku kasowym. Powiedziałem do żony: „To chyba jest Benedykt...” „Niemożliwe — odparła. — Zbyt młodo wygląda”. Nie byłem pewien, bo ostatni raz widzieliśmy się 23 lata temu. Podeszedłem jednak do okienka, stanąłem za plecami mężczyzny i zawołałem: „Benedykt!” Obejrzał się jakby przestraszony i krzyknął: „Huisman!” Nie posiadał się z radości. To było naprawdę wielkie wydarzenie. Po 23 latach móc znowu powitać swoich „przybranych rodziców” z czasów okupacji i ukrywania się.

Kolacja w domu Benedykta była bardzo obfita i jak dla nas, to trochę za bardzo królewska. Oczywiście z wódką, która widocznie dla Polaków jest czymś nieodzownym. Kiedy o trzeciej zaczynało świtać, zapytałem, czy jeszcze pójdziemy spać.

Do środy, 10 lipca, byliśmy w Gdyni. Tyle niezapomnianych przeżyć, że nie sposób wszystkiego



dokładnie opisać. Ulice są tu bardzo czyste, szerokie, widać wiele kwiatów. Dużo pomników i pamiątek z czasów wojny. Port gdyński został po wojnie odbudowany, a Polska odzyskała obszary zagarnięte przez Niemców. W tym krótkim okresie czasu staraliśmy się wykorzystać każdą chwilę aby zwiedzić miasto, port, zobaczyć zawiązujące i odpływające statki. Na obiady chodziliśmy do restauracji, aby naszym gospodarzom nie sprawiać kłopotu. Za każdym razem musieliśmy szukać wolnego miejsca, gdyż w restauracjach zawsze pełno ludzi. Tej „biedy”, o której tak często pisze się w naszych gazetach — widzieliśmy bardzo mało. Człowiek odnosi wrażenie, że panuje tu dobrobyt. Ludzie są dobrze ubrani, sklepy i kawiarnie przepelnione. Tramwaje, autobusy i pociągi zawsze pełne pasażerów. Zwiedzaliśmy też Gdańsk i Westerplatte.

10 lipca Jarzyńscy zorganizowali pożegnalny wieczór, na który przyszło wielu ich znajomych. Wydawało się, że w czasie takich spotkań w niczym nie przeszkadzają trudności językowe. Piliśmy trochę i śpiewali bardzo ładne polskie piosenki. Następnego dnia rano razem z Benedyktem wyjechaliśmy do Polczyna Zdroju i do Barzkowic.

Dyrektor gospodarstwa w Barzkowicach przywitał nas bardzo serdecznie. Wkrótce i pani Ligeman siedziała razem z nami. Teraz już dwoje tłumaczy biedziło się z moją łamaną niemiecką. Często zastanawiałem się, czemu ja, jako cudzoziemiec, zawdzięczać mam takie serdeczne przyjęcie.

Z Fryzji przywoziłem ze sobą mały upominek — talerz, który można powiesić na ścianie, z napisem: „t is de boer allike folle, as de kou skyt as de bolle” — „Chłopa jest obojętne czy sra krowa, czy byk”. Wręczyłem talerz dyrektorowi i poprosiłem Jarzyńskiego, żeby przetłumaczył tekst na polski, niestety nie potrafił, a może napis wydał się zbyt frywolny. Natomiast pani Ligeman przetłumaczyła chętnie. Spowodowało to w naszym towarzystwie szczerzy śmiech.

Dwa ręce konie zaprzęgnięto do wozu i wszyscy pojechaliśmy zwiedzać Barzkowice.

W porównaniu z tym, co widziałem w 1965 r., Barzkowice sprawiły zupełnie inne wrażenie. Zaledwie trzy lata upłynęły, a prawie wszystko tu odnowiono. Przede wszystkim zbudowano szkołę, w której zatrudnionych jest sześciu nauczycieli. Widzieliśmy dwa nowe otwarte sklepy. Potem zobaczyliśmy szereg pięknych nowych domków jednorodzinnych dla pracowników gospodarstwa.

Tutaj widać naprawdę odbudowę Polski. Odbudowę — w sposób, o którym ludziom może nawet nigdy się nie śniło. Przed takimi ludźmi, przed taką dyrekcją, chylę z szacunkiem głowę.

Po obejrzeniu gospodarstwa dyrektor zaprosił nas na obiad. Tam, gdzie w 1965 r. była tylko zwykła gospoda, dzisiaj jest wspaniała restauracja. Zjedliśmy tam wszyscy razem taki obiad, że odniosłem wrażenie, jakbym był ministrem spraw zagranicznych...

Po obiedzie był najwyższy czas by ruszać w drogę. Jadąc w kierunku Stargardu zauważyłem coś, co mnie zainteresowało. Na pewnej stacji pociąg musiał czekać półtorej godziny. Zapytałem konduktora, czy stało się coś szczególnego. Powiedział, że nie — jest to rzecz normalna i pociąg zawsze stoi tutaj tak długo. Pomyślałem sobie: jakież to marnowanie czasu i pieniędzy. W Polsce widocznie sprawa ma się inaczej.

Jeżeli miałbym streścić to wszystko, co widziałem i słyszałem, zrobiłbym to następująco: czyste ulice, ładne restauracje, sklepy pełne towaru, można kupić wszystko co potrzebne. Restauracje i jadłodajnie są zawsze pełne gości. Ludzie chodzą nie gorzej ubrani niż w Holandii. Na koniec dodam jeszcze to, że przybywając do Polski, Holender ma wszędzie wstęp wolny. Jest się niesłychanie gościnnie przyjmowanym. Wiele osób od razu ofiarowywało nam różne prezenty. W większości przypadków odmawialiśmy ich przyjęcia, ale nie zawsze się to udawało.

I tak oto zakończyła się nasza „awanturyczna wyprawa” do Polski.

Wspomnienia Harmena Huismana trafiły na moje biurko dzięki uprzejmości mgra Jerzego Wieluńskiego z Zakładu Elektroniki Obliczeniowej w Lublinie, a okoliczności, jakie do tego doprowadziły, to cała osobna historia... Kilka lat temu mgr Wieluński, uczący się właśnie języka holenderskiego, nawiązał kontakt z grupą sportowców holenderskich przybyłych na mecz do Lublina. Otrzymał od nich kilka gazet holenderskich, a wkrótce potem w jednym z tych dzienników ukazał się list p. Wieluńskiego z prośbą do czytelników o nawiązanie z nim korespondencji. Jako jeden z pierwszych odpowiedział właśnie Huisman. Nawiązała się jeszcze jedna przyjaźń między Holendrem i Polakiem. Po pewnym czasie do Lublina nadeszła przesyłka z maszynopisem, który przetłumaczył nam p. Wieluński.

Oprac. M. D.

z kasy nic się nie należy...

Jerzy Dostałni

naniu do roku 1972 wzrosła o 33,6 proc., wydajność pracy zaś w przyroście produkcji dodanej aż o 92,3 proc., koszty materiałowe zmniejszono o 2,6 proc., a zysk w stosunku do planu zwiększono o 106 proc.

W świdnickiej WSK tempo produkcji sprzedanej było wyższe o 16,4 proc. niż w roku poprzednim, a równocześnie wyższe od średniej przemysłu krajowego i wojewódzkiego, przy czym produkcja rynkowa zwiększyła się o 30 proc.

W puławskich Azotach dochód ogółem w ciągu roku wzrósł o 36,6 proc., zysk brutto o 71 proc., zatrudnienie natomiast zaledwie o 2,5 proc. Tak korzystnych wyników przedsiębiorstwo nigdy dotąd nie notowało.

A robotnicy? Trzeba najpierw powiedzieć, że pewna rolę odegrało tu zniesienie bariery podatkowej w zwiększeniu wydajności pracy. Teraz zarobki wypłaca się netto, a progresja zaczyna się dopiero w rejonach, praktycznie jeszcze nieosiągalnych. W Zamojskich Fabrykach Mebli zarobki w ciągu roku wzrosły np. o 12,4 proc., czyli o 3289 zł, schowanych dodatkowo do każdego portfela. Niewiele mniej wypłacono w WSK i Azotach.

Wyniki mówią same za siebie, nawet jeżeli weźmiemy pod uwagę, że wymienione jednostki inicjujące już i poprzednio gospodarowały dobrze. Ale czy to znaczy, że przejście na nowy system automatycznie przyniesie wszędzie to, czego od niego oczekujemy? Nic podobnego. Automatycznie i zarazem dobrze mogą działać pralki czy komputery, ale nie ludzie. Najtrudniejszą rzeczą będzie tu chyba przełamanie bariery psychicznej. Mimo powszechnych narzekania wielu ludzi na stanowiskach kierowniczych było w gruncie rzeczy zadowolonych z daw-

nego dyrektywnego sposobu zarządzania. Nauczyli się słuchać i wykonywać, a rozliczano ich właśnie z wykonywania a nie myślenia. Podejmowali się też wielokrotnie różne akcje, czy nawet długofalowe działania, aby ujawnić tzw. ukryte rezerwy. Wyniki były zawsze dość skromne, bo w interesie wszystkich zainteresowanych leżało, mimo pięknych deklaracji, zachowanie możliwie największych rezerw. To bowiem niemal zawsze dawało pewność wykonania wskaźników dyrektywnych.

Przedstawiciele WSK, Azotów i ZFM zgodnie stwierdzają, że przejście na nowy system gospodarowania musi bezwzględnie być poprzedzone szczegółowym zapoznaniem całej załogi z istotą tego systemu, z implikacjami, jakie pociąga on za sobą zarówno w całym przedsiębiorstwie, jak i w zarobkach każdego pracownika. Okazało się nawet, że robotnicy są często bardziej skłonni przyjmować nowy system niż zrutyinizowani pracownicy umysłowi, od lat przywykli do automatycznego wypełniania planów. Nawet więcej: rozumiejąc, że każde oczekiwanie na narzęzie, każdy jałowy obrót maszyny, każdy kawałek straconego materiału to gorsze wyniki i dla zakładu i dla własnego portfela — wzmagają presję na kierownictwo, aby coraz śmielej podejmowało decyzje, stawiało trudniejsze zadania, dokładniej kontrolowało jakość produkcji, energiczniej zabiegało o zaopatrzenie słowem, aby kierownictwo w swoim zakresie gospodarowało coraz bardziej efektywnie. Czy się stoi, czy się leży, dwa tysiące się pałczy — mówiono dawniej. Dziś mówi się: gdy się stoi albo leży, z kasy nic się nie należy.

Wprowadzenie nowych zasad gospodarowania nie zawsze odbywa się gładko. Jednostki inicjujące pracują w otoczeniu przedsiębiorstw (dostawców, odbiorców, świadczących usługi), które działają jeszcze po staremu. Dochodzi więc czasem do konfliktów, np. zaopatrzeniowcy z Zamościa polewa swego czasu pracy musieli użyć na wyjazd z interwencjami. Zjednoczenia i ministerstwa, a

właściwie niektórzy ludzie w nich pracujący, nie mogą się jeszcze wyrwać z kręgu działania dyrektywnego i zdarzało się, że wbrew jasnej uchwale Rady Ministrów napływały jeszcze do przedsiębiorstw wskaźniki. Za nowym nie nadąża jeszcze system sprawozdawczości. Niektóre urzędy powiatowe czy miejskie wciąż jeszcze oceniają przedsiębiorstwa według starych kryteriów, bo po prostu nie znają nowych.

Ale przecież nie co nowe, nie daje się realizować bez przeszkód. Rzecz w tym, aby mądrym działaniem te przeszkody łamać, a nowe ulepszać. Ta właśnie zasada natchnęła oddział lubelski Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego myślą zorganizowania najpierw jednodniowego sympozjum na te tematy, a następnie Klubu Jednostek Inicjujących. Zadaniem Klubu ma być prowadzenie szkoleń ekonomicznych, organizowanie prelekcji i dyskusji, a także pomoc tym przedsiębiorstwom, które nowe zasady już stosują, lub mają zamiar według nich pracować.

Osobiście myślę, że Klub Jednostek Inicjujących powinien nawiązać bardzo ścisłą współpracę, powiadzialbym nawet: wprowadzić koordynację w działaniu swoim oraz Towarzystwa Naukowego Organizacji i Kierownictwa. Obie bowiem sfery działania nie tylko się uzupełniają, ale po prostu jedna warunkuje drugą. Sprawa jest tym łatwiejsza do realizacji, że prezesem Klubu został doc. dr Zbigniew Szloch z Instytutu Ekonomiki Produkcji UMCS, zarazem działacz i członek władz TNOiK, a siedziby zarządów wojewódzkich obu organizacji oddzielają tylko jednopiętrowe schody. O współpracy naukowców nie mówię, bo to sprawa więcej niż zrozumiała.

że i marze nie takie straszne. W „Victorii” obiad poza bonifikatą, na który składa się zupa pomidorowa zabieleną z ryżem oraz kotlet schabowy saute z frytkami, pieczarkami i surówką, kosztuje obecnie 35,30 zł. W „Unii” kotlet schabowy z dodatkami kosztuje teraz 35 zł. Nie potrzeba nawet robić demagogicznego zestawienia z ceną kotleta schabowego po moskiewsku (69 zł) w restauracji „Soplica” hotelu „Forum” w Warszawie. Wystarczy powiedzieć, że przed wprowadzeniem nowych marż wymieniony zestaw obiadowy w „Victorii” był tańszy raptem o 4,80 zł. Zaś w „Unii” kotlet schabowy był wówczas nawet droższy (36,30 zł), natomiast wprowadzona obecnie podwyżka cen dań produkowanych z innych gatunków mięsa sięga najwyższej 5 procent w stosunku do cen dawniejszych.

Gastronomia na zakręcie

Więc konsument obiadowy, początkowo ciężko przestraszony, zaczął się oswajać. Stał się problemem klienta pożądanego wieczornych uciech tanecznych, zakrapianych nie zawsze tylko piwem na pusty żołądek. Młodzież, traktując do późnej nocy restaurację jak kawiarnię, wyprowadzono na zewnątrz, podwyższając marżę na piwo („Unia”), a nawet stosując bony konsumpcyjne („Victoria” — 50 zł), co nie rozwiązuje wprawdzie kwestii braku odpowiednich lokali młodzieżowych, lecz to inna sprawa. Zresztą „Victoria” wprowadziła środy dancinowe bez bonów konsumpcyjnych — właśnie z myślą o młodzieży, a ponadto gości hotelowych w ogóle te bony nie obowiązują. I znów się okazało, iż marże nie takie straszne. W przypadku „Victorii” pół litra extra-żytniej „dziennej” kosztowało dawniej prawie 165 zł, nocą zaś — blisko 200 zł. Obecnie, czy to w dzień czy o zachodzie — 170 zł. I tak jest we wszystkich restauracjach typu „Victorii” („Powszechna”, „Motel”). Ostatnio nawet ma być podobno zniesiony tajemniczy „podatek od spożycia”, wynoszący 10 procent po godzinie 23, a obowiązujący wyłącznie w Lublinie jako jedynym mieście w Polsce. O zawikłanej tej sprawie pozwolę sobie zamilczeć. W każdym razie restauracja by night traci powoli charakter non-stopu, a przemieniają się w regularne dancinigi, o których przecie z góry wiadomo, że szóstka parafialna być nie mogą.

Czyby więc wszystko wróciło do dawnej normy? Bynajmniej i wcale na to się nie zanosi. Według wyczerpującej informacji Wydziału Handlu, Przemysłu i Usług Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie — gastronomia miejska w lutym, traktowana globalnie, nie wykonała planu obrotów (plan był ustalony w roku ubiegłym, a reforma gastronomii nastąpiła w roku bieżącym), i to wyłącznie za sprawą placówek Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Przemysłu Gastronomicznego oraz „Orbisu”. Zachwianie planu nastąpiło głównie ze względu na znaczny spadek spożycia wysokoprocentowego alkoholu w zakładach gastronomicznych, sięgający ponad 20 procent w stosunku do spożycia planowanego („Wars”, w ogóle nie serwujący wysokoprocentowych alkoholi, i gastronomia LSS, serwująca je w niewielkich ilościach, nie miały tych kłopotów). Jak powiadają fachowcy z zainteresowanych przedsiębiorstw — ten spadek konsumpcji alkoholu w restauracjach może się utrzymywać, z małą tylko poprawą w przyszłości, kiedy nowa sytuacja gastronomiczna dotrze się sama w sobie oraz... dotrze szerzej do społeczeństwa, ale to mizerne rokowania perspektywiczne, skoro wykonanie planu obrotów gastronomii miejskiej w lutym 1974 nie osiągnęło nawet poziomu lutego 1973.

Teraz można spojrzeć na sprawę z dwu punktów widzenia — w kontekście interesów przedsiębiorstw lub głębszych interesów społecznych, ale dopiero na koniec się okaże, iż tu nie musi być sprzeczności. Na razie widać, że obrotów nie ratują, zawsze pełne, ordynarne pijalnie wódki, gdzie sprzedaż alkoholu w stosunku do sprzedaży produkcji gastronomicznej sięga niekiedy aż 70 procent! Ze w restauracjach wyższej kategorii konsument indywidualny (obiadowy i „nocny”) mimo wszystko nie daje się całkowicie oswoić, choć na początek nie stosuje się najwyższych marż, „Unia” zainstalowała atrakcyjny kabaret „Rak” (przy minimalnie kosztujących kartach wstępu), a „Victoria”... telewizor w sali konsumpcyjnej, uruchamiany podczas emocjonujących transmisji sportowych. Jeśli „Victoria” — na zasadzie wyjątku pośród lokali wyższej kategorii — uratowała plan lutego 1974 i w ogóle z nadzieją spogląda w przyszłość (podobnie jak „Unia”, która jednak nie wykonała analogicznego planu obrotów), to dzięki określonej polityce, zakładającej nie tylko spadek spożycia alkoholu, lecz również liczby klientów indywidualnych. Zwiększyć produkcję własnych wyrobów, a następnie serwować ją najrozmaitszym „zbiorówkom” w swoim zakładzie lub sprzedać do detalu („Victoria” na tusty czwartek zafundowała 17 000 pączków między innymi dla

„Delikatesów”). W ten sposób ratuje się i ma zamiar się ratować nadal cała gastronomia miejska. Sprzedaż do detalu, a przede wszystkim organizacja przyjęć („Unia” specjalizuje się w bankietach doktorskich i habilitacyjnych), wesel, podejmowanie wycieczek, grup sportowców, a nawet urządzanie bufetów na zabawach poza własną salą konsumpcyjną. Szukanie klienta zbiorowego za wszelką cenę. I niech no tylko minie martwy sezon, wtedy plan się nadrobi! Ot i cała polityka. Nie przeczę, że realistyczna w perspektywie planów obrotów rocznych, choć nie jestem pewien, czy i w tym wymiarze ostatecznie skuteczna. Z pewnością zbyt bierna. Ale żeby ją gruntownie zmienić potrzeba spełnienia paru warunków, o których potem, a które nie zawsze zależą od inicjatywy samych zakładów.

Tak wyglądałyby doraźne interesy przedsiębiorstw gastronomicznych. A interes społecz-

stwa? Według informacji Wydziału Handlu, Przemysłu i Usług Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie — jeśli porównać spożycie piwa oraz wysokoprocentowego alkoholu na całej Lubelszczyźnie (gastronomia i sprzedaż detaliczna) w lutym 1974 w stosunku do lutego 1973, to można odnotować spadek ilościowy. Piwa — przeszło 8 procent, wódek gatunkowych — blisko 4 procent, wódek czystych i spirytusu — blisko 16 procent (przy 1-procentowym wzroście spożycia win i miodów pitnych). Ów bezwzględny spadek konsumpcji alkoholu jest pierwszą zasadniczą społeczną wartością, która wiąże się ze styczniową podwyżką cen napojów alkoholowych, a zarazem nie zagraża ogólnej akumulacji ekonomicznej.

Z drugiej jednak strony — jak informuje Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Spożywczego w Lublinie — jeśli porównać sprzedaż detaliczną (w sklepach) alkoholu wysokoprocentowego w lutym 1974 w stosunku do lutego 1973, to można odnotować wzrost ilościowy. Spirytusu i wódek czystych — 3 procent, wódek gatunkowych — 23 procent. (Niestety, także wzrost sprzedaży cukru i drożdży).

Co to wszystko razem oznacza? Po prostu — że przy bezwzględny spadku konsumpcji alkoholu zmieniła się zarazem struktura jego spożycia. Pije się — o dziwo! — więcej wódek gatunkowych (karierę zrobiła chyba żytnia-extra po 100 zł pół litra), a sam rytuał przenosi się z lokali gastronomicznych do domów prywatnych, co posiada więcej pozytywów niż negatywów, lub na „zieloną trawkę”, z czym byłoby już gorzej. W każdym razie statystyczna żona wolałaby z pewnością, żeby jej mąż wypił ćwiartkę gatunkowej w domu niż pół litra czystej w restauracji. I na to się zanosi. Na większe uciechy w lokalu, szczególnie wyższej kategorii, chadza się jedynie przy uroczystych okazjach, jak wesele brata, doktorat przyjaciele, zjazd byłych maturzystów. Przynajmniej taka sytuacja zaczyna się wykluczać. I takie byłyby interesy społeczne, które się realizują w związku ze styczniową podwyżką cen alkoholu.

Lecz pozostaje jeszcze gastronomia, lubelska i w ogóle, ze swoją koniecznością wykonania planu obrotów, rentowności i tak dalej. Zajmę się gastronomią lubelską, bo tę bliżej poznałem, choć diagnoza ta może mieć charakter szerszy.

Jak wiadomo — zostały ujednolicone ceny dań i alkoholi obowiązujące w dzień i nocą w obrębie poszczególnych kategorii zakładów. Schabowy i pół litra żytniej-extra w „Victorii” kosztuje tyle samo o godzinie 13 co i 1. Jeśli nie liczyć obiadów firmowych z bonifikatą, taka sytuacja w sposób oczywisty premiuje amatorów zakrapianych dancingów, których to amatorów ostatnio wcale nie są takie tłumy. A choćby nawet, to skoro w podrzędnej restauracji Lublina właściwie nie można kulturalnie zjeść obiadu czy kolacji, warto, żeby lubelskie zakłady wyższej kategorii pomyślały o szerszym przyciągnięciu indywidualnego konsumenta obiadowego, choćby dla poratowania planu obrotów. Należałoby znacznie bardziej zróżnicować i uatrakcyjnić (w obrębie tanich surówek) zestawy obiadowe z bonifikatą. Za dużo tam naleśników i pierogów, za mało dań mięsnych i półmiesnych. Zupa owocowa z makaronem fabrycznym i naleśniki z serem tustym (jeden z zestawów bonifikowanych) kosztują w „Victorii” 16,10 zł, w barze mlecznym „Staromiejskim” — 12,50 zł. Można klientowi długo tłumaczyć, że receptury inne, owocowa „victoriańska” bardziej kaloryczna i smaczna. On widzi przed sobą na talerzu owocową i naleśniki, w „Victorii” droższe, a w „Staromiejskim” tańsze. I już konsument dla restauracji stracony, a odzyskany dla barów mlecznych (w których możliwości obiadowe zresztą nie bardzo wierzę).

Więc w najbliższym planie trzeba elastyczniejszej polityki w dziedzinie obiadów bonifikowanych. W nieco dalszym — to pod adresem zarządzeń centralnych — może dałoby się objąć bonifikatą obiadowe znacznie szerszy zestaw dań, na przykład potrawy gotowe czy całą kartę konsumpcyjną w godzinach 13—17, a wprowadzić wyższe marże w pozostałych przypadkach?



Pokazowe zaplecze gastronomiczne w hotelu „Unia”.

Fot. CAF

W najdalszym jednak planie widzę konieczność likwidacji kilkunastu lubelskich obskurnych pijalni wódki, poszerzenie tych lokali i adaptację — jeśli są położone w uliczkach pobocznych — na nieduże lokaliki specjalistyczne (ucho i ryj świński, pyzy...) lub — gdy położone w ciągu handlowym — na bistra, gdzie można by zjeść szybko i tanio, a przede wszystkim bez obrzydzenia (do rozwiązania problem, czy i jaki tam się powinien znajdować alkohol). Słowem — idzie o stworzenie, właściwie od nowa, sieci małej i „szybkiej” gastronomii, pracującej na najniższych marżach. Wtedy większe zakłady niech się nastawiają na konsumenta zbiorowego, niech solą ceny za wesela i bankiety, niech ukrzeplają kiełkującą tendencję, że jeśli do dużej, eleganckiej restauracji, to przy specjalnie uroczystej okazji, niech będą wówczas w jakimś lokalu Lublina i srebra, i kryształ, i porcelana, i oddzielne sale bankietowe i... tak dalej. Niech zjeżdżają goście zagraniczni, a Polacy niech przychodzą do restauracji jak do teatru — w garniturze i pod krawatem. I nie potrzeba by się wtedy martwić o globalne obroty gastronomii miasta, one musiałyby „wyjść”. Nawet nie konieczne dzięki alkoholowi, ale dzięki masowości małej gastronomii obiadowo-kolacyjnej i wysokim marżom w gastronomii „uroczystej”. Ostatecznie jakaś część ogólnokrajowych podwyżek plac ma prawo upłynąć się również w usługach gastronomicznych, byle się wiodziało, za co się płaci.

Dziennikarzowi wolno pomarzyć, ale nie wolno mu zapominać o dniu dzisiejszym. A obecnej sytuacji nie ratuje ani „Unia”, ani „Victoria”, lokale pokazowe, niedawno zbudowane. Z restauracji starszych tylko „Powszechna” była gruntownie modernizowana na przestrzeni ostatniego dziesięciolecia. Na zapleczu większości zakładów straszą splekane stoły produkcyjne z drewna, kuchnie węglowe, dymiące, brudzące i kosztowne (plan obrotów). A wyposażenie sal konsumpcyjnych? Krzesła gastronomiczne „pracuje” kilkakrotnie więcej niż krzesło mieszkaniowe, tymczasem na Lubelszczyźnie żadna fabryka mebli nie produkuje specjalnych kompletów gastronomicznych („Victoria” na własny koszt umocniła rozlatujące się krzeselka płaskownikami metalowymi). Ciągłe brak kelnerów i kucharzy, chociaż nieustannie się styszy, iż struktura kształcenia zawodowego jest dostosowana do potrzeb gospodarki województwa.

Na szczęście ten rok wywołał w Lublinie parę inwestycji: położony na Kalinowszczyźnie dworek Graffa zostanie adaptowany na restaurację węgierską (140 miejsc), przy ul. Rady Delegatów powstanie duża kawiarnia „Arkady” z wystrojem ludowym, rozpocznie się budowa centrum handlowo-gastronomicznego przy pl. Hempla. Restauracja „Polonia” zmieni po remoncie swój charakter lokalu „mieszanego” na lokal całkowicie staropolski, „Fafik” będzie karczmą słupską. Ponadto Technikum Odzieżowe przy ul. 22 Lipca, firma pewna, szyje... na 22 lipca 1974 eleganckie stroje dla kelnerów, członków orkiestry, portierów i kierowników sal w lokalach pionu WPPG. Coś się jednak zaczyna dziać, choć „mała” gastronomia nadal nie rozwiązana.

Powiedział mi dyrektor WPPG, Grzegorz Jelewicz: „Mogę polikwidować knajpy-spelunki i zaadaptować je na lokale specjalistyczne lub bistra. Ale wtedy spadną obroty przedsiębiorstwa, a jeśli nawet przy robotach modernizacyjnych nie spadną obroty to nie wypracujemy zysku i przekroczymy fundusz plac. Będą efekty rzeczowe, lecz nie ekonomiczne. Kto mnie choćby na rok zwolni od reżimu obrotów i zysków?” Ponieważ jednak sprawa dotyczy przyszłości, więc może znalazłby się ktoś taki? Przeszlibyśmy się liczyć jako ostatnia gastronomia w kraju i nie musielibyśmy nieustannie biegać między Scyllą doraźnych konieczności ekonomicznych a Charybdą perspektywicznych i głębokich potrzeb społecznych.

Maciej Podgóski

W GRUDNIU 1968 r. oddano do użytku w Lublinie „Motel” Politechniki Związku Motorowego, wzniesiony kosztem 37 mln zł. Było to wydarzenie społeczno-gospodarcze i towarzyskie, choć przy pokojach nie było ubikacji, a cały obiekt liczył zaledwie 98 miejsc noclegowych. Pierwsza po wojnie inwestycja hotelowa w 230-tysięcznym wówczas mieście budziła przecież pewne emocje. O wyraźnym podnieceniu obywateli lubelskich można jednak było mówić dopiero w trakcie budowy kolejnych hoteli, które miały nas zbliżyć do tzw. nowoczesności. Prasa nie szczędziła krytyczno-życzliwej uwagi, ludzie spontanicznie gromadzili się wokół placów budowy. Trwało to dość długo, ale w końcu 1971 r. pierwsi goście zameldowali się w orbisowskiej „Unii”, która wraz z wyposażeniem kosztowała 41 mln zł, następnie zaś, w lutym 1972 r. — w komunalnej „Victorii”, wycenionej na 44 mln zł. Pierwszy przyniósł miastu 185 łóżek, drugi — 270, obydwa chwaliły się wysokim standardem i ostatecznie przypisane zostały do I kategorii. Nieco wcześniej zlikwidowano pod kątem noclegownicę pod nazwą „Polonia”, dysponu-

nych, z roku na rok rośnie liczba wycieczek turystycznych i drużyn sportowych, które dzień, dwa, czy tydzień biwakują nad Bystrzycą. Tylko w minionym roku hotele komunalne przyjęły 82 081 osób, „Unia” — 23 988, a „Motel” — 13 743. Trudno określić, ilu ludziom odmówiono hotelowej gościny, wiadomo przecież dokładnie, że są to przypadki niepokojąco częste. Tymczasem za kilka miesięcy ulegnie całkowitej likwidacji hotel „Europa”, do opuszczonego budynku zamierza się wprowadzić biura różnych instytucji; niektóre z nich już zainstalowały się przy Krakowskim Przedmieściu. Tak więc obiekt ten powrócił do roli, jaką pełnił w latach bezpośrednio powojennych. Warto zatem przypomnieć, że hotel „Europa” wystawiono w okresie 1865—67 według projektu Budowniczego Gubernialnego, Ludwika Szamoty, który nawiązywał do nieco wcześniejszego hotelu „Europejskiego” w Warszawie. Służył ziemianstwu, posiadał dwie restauracje słynące z doskonałej kuchni. Wiąże się z nim fatalna przypowieść, której czas nie wyrugował jakoś z ludzkiej pamięci. Mówią więc, że „Europa” stanęła na... carskich rubłówkach uzyskanych przez właściciela za denuncjację powstańców 1863 r. Żal za grzechy spowodował, że w 1918 r. trzy czwarte obiektu przejęło mocą testamentu Towarzystwo Dobroczyńców... Ten zabytkowy budynek, mocno wrośnięty w pejzaż Lublina, szykowano niedawno do gruntowej modernizacji wewnątrz, wydając na opracowanie dokumentacji 60 tys. zł. Czy projektant liczył się po trosze z historycznym wystrójem i układem przestrzennym hotelu, trudno powiedzieć. Potrącamy o tę sprawę w przekonaniu, że „Europa” będzie znów kiedyś hotelem.

Najbliższe lata skomplikują zapewne i tak już kłopotliwą sytuację lubelskiego hotelarstwa. Budowa „Domu Turysty” PTTK, obliczonego na 380 miejsc noclegowych, rozpocznie się dopiero w 1976 r. zlokalizowany w okolicach dworu Chrzanowskich przy ul. Północnej, będzie kosztował 32 mln zł. W tym też roku przystąpi się do wznoszenia w Lublinie kolejnego motelu (?) za sumę 50 mln zł. Projekt obiecuje obiekt luksusowy, zawierający 130 miejsc, przyozdobiony marmurem i granitem! Gdyby zatem w życiu społeczno-gospodarczym Lubelszczyzny nie pojawił się jakiś szczególnie dynamizujący element, za pięć — sześć lat, czyli po oddaniu wspomnianych inwestycji, w hotelach miasta zrobiłoby się przestronniej. Tymczasem już teraz ów element, czyli węgiel, demonstrowa swoją obecność, podnosząc frekwencję na liniach komunikacyjnych Lublin—Śląsk i Lublin—Warszawa. Niewątpliwie, budowa zagłębia pociągnie za sobą inwestycje towarzyszące, na uruchomieniu tej ekonomicznej prawidłowości skorzystają zapewne hotele. Jest to jednak kwestia lat. Pewne wnioski z tej sytuacji wyciągnęło Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Hoteli Komunalnych, które przygotowuje się właśnie do organizacji systemu kwater prywatnych. Dziennikarz ma prawo do innych wniosków: jest przekonany, że przez wiele minionych lat hotelarstwo było czwartorzędnym elementem planowania gospodarczego — po części z konieczności, po części z wyrachowania. Stąd właśnie akcyjny charakter działania na tym „gościnnym” terenie, owe zrywy inwestycyjne i przestoje. Nie mieści się w głowie, ale prawdą jest, że WPHK, które skupia 11 hoteli województwa, nie przynosi złotówki zysku, ma zaplanowany deficyt: w ubiegłym roku otrzymało dotację w wysokości 7 mln zł. Rzecz w tym, że w stosunku do kosztów własnych, związanych z wyposażeniem, usługami i administracją hotelowa cena pokoiów są dość niskie. Jednoosobowy pokój w „Victorii” kosztuje, przy uwzględnieniu zniżki, ok. 120 zł. A 90 proc. gości ma prawo do korzystania z rabatu. Takie relacje ekonomiczne wynikają z generalnych założeń polityki społecznej i z punktu widzenia użytkownika hotelu są oczywiście korzystne. Ale miasto czy przedsiębiorstwo, które permanentnie dopłaca do interesu, bez entuzjazmu inwestuje w tę dziedzi-

nę. W szczególności żalostnej roli występowały do niedawna hotele w miastach powiatowych, działające w ramach lokalnych przedsiębiorstw gospodarki komunalnej, które w pierwszym rzędzie i ze zrozumiałych względów zajmowały się sprawami wodociągów, kanalizacji, oczyszczania, remontów, pralni, łaźni... Na liście ponad 20 branż hotele „ozdabiali” bodaj ostatnie miejsce, wyprzedzane także przez zakłady pogrzebowe. Takim sposobem dorobiliśmy się brudnych, obskurnych i tandetnych przybytków, które zamiast oswojać ludzi z kulturą, proponując przyzwoite i ładne łocum, edukowały wręcz przeciwnie. Obecnie jest lepiej, można śmiało powiedzieć, że z chwilą przejęcia tych placówek przez jedyne w kraju Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Hoteli Komunalnych sytuacja uległa istotnej poprawie — kosztem 2 mln 300 tys. zł wydatkowanych na remonty, modernizację i zmianę wyposażenia wewnątrz. Z czystym sumieniem można jednak polecić tylko hotele nowe, a więc puławską „Izabelę”, zamojski „Renesans”, a także kraśnickiego „Saturna”, obiekty przystosowane do obsługi ruchu turystycznego. Ostatecznie najbardziej zadbane barak hotelowy pozostanie tylko barakiem.

Hotelowe perspektywy miast powiatowych Lubelszczyzny przedstawiają się przecież dość zachęcająco. Około 1977 r. powinien wejść do eksploatacji nowoczesny obiekt w Chełmie, oparty na ulepszonym projekcie „Unii”. Komunalny inwestor lokuje w interesie ok. 50 mln zł. Przy końcu przyszłej pięcioletki podobny hotel otrzyma Łuków. W przyszłym roku rozpocznie się budowa dużych moteli w Tomaszowie (40 mln zł) i Zamościu (50 mln zł), zaopatrzonej rzecz jasna w stacje obsługi samochodów. Tego typu obiekty powstaną też w innych powiatach.

W samym Lublinie trudności z uzyskaniem miejsca w hotelu raczej nie zlagodnieją. Nieklamana pocięchą można jednak czerpać z faktu rosnącego zakresu i standardu usług hotelowych. W tej delikatnej i skomplikowanej materii miasto poczyniło największe i widoczne postępy. Orbisowska „Unia”, oparta w zasadzie na projekcie typowym, posiada wyjątkowo przytulne i ze smakiem wyposażone wnętrza, wyróżniające ją wśród pokrewnych hoteli przedsiębiorstwa. W każdym pokoju znajduje się łazienka, radio, odbiornik i telefon, apartamenty posiadają dodatkowo telewizory oraz lodówki. Goście mogą korzystać z maszyn do pisania, telexu, sali konferencyjnej, strzeżonego parkingu, kiosku PKO, kasy wymiany walut, informacji turystycznej i zakładu fryzjerskiego, nie mówiąc już o restauracji i kawiarni, czy klubie z prasą zagraniczną. Pracownicy recepcji dość dobrze opanowali języki obce, co jest sprawą szczególnie ważną w przypadku hotelu nastawionego na przyjmowanie gości zagranicznych. W ubiegłym roku przewinęło się przez „Unię” 4631 obokrajowców. Indywidualny turysta płacił za pokój dwuosobowy (w sezonie) 629 zł, a za apartament — 962 zł, co i dobrze. Do niedawna polskie hotele były bodaj najtańsze na świecie, „bily” nas pod tym względem nawet podłe hoteliki angielskie i dość chędogie pensjonaty rumuńskie kategorii A. Oczywiście, „Unia” udziela istotnej zniżki zagranicznym wycieczkom, ale i tak Polacy znajdują się w sytuacji uprzywilejowanej, placąc np. za pokój jednoosobowy (z rabatem) 119,60 zł, podczas gdy obcoplemienny wycieczkowiec — 156 zł. „Unia” posługuje się tym samym cennikiem, co hotele komunalne. Jest to przy tym jedyny hotel w Lublinie, który reklamuje swoje usługi. Dyrekcja zleciła właśnie wykonanie nalepki firmowej na kolorowej folii metalizowanej, przygotowywany jest folder, zawierający krótką informację o hotelu i opis okolicznych tras turystycznych, wysyłane są pisma urzędowo-bezpośrednie, które w ciepłych barwach prezentują walory pejzażowe, zabytkowe i historyczne Lubelszczyzny.

Okazuje się bowiem, że dla takich instytucji, jak np. Miuro Zagranicznej Turystyki Przyjazdowej, województwo jest białą plamą, której jedynym urozmaicheniem są stada rozleniwionych krów, przeżuwiających trawę po obu brzegach

kanalu Wieprz-Krzna. Ze jest inaczej, co nieco na ten temat mogłoby powiedzieć wycieczka polonijna, która wracając z ZSRR, z konieczności i w świątecznym oburzeniu musiała zatrzymać się w „Unii”, bo coś tam z noclegiem w Warszawie nawaliło. Polonusy opuszczali lubelski hotel do tej rozczarująco solidną porcją melodii ludowych i gastronomią... Nie chwalmy jednak za ostro, bo nikt nie uwierzy. „Unia” jest hotelem nowym i młodym, posiada swoje braki, sporo do zyczenia pozostawia wentylacja (w remoncie) oraz sprawność zawodowa niektórych pracowników części gastronomicznej — od „brankarza” pocztowy. To jednak wyjątki, które nie mają większego wpływu na opinię o hotelu, opinię dobrą, o czym świadczy m. in. pochlebne adnotacje Waldorffa, Malczewskiego, Piłkowskiego, Glińskiego, Harasiewicza, czy Pawłowskiego w książce pamiątkowej.

Uwagi o podobnej treści znajdują się również w odpowiednim albumie „Victorii”, drugim reprezentacyjnym hotelu Lublina. Wilkomirski, Lapiński, Janiszewski, Zapasiewicz, Holubek, Badański, — stwierdzają, że mieszkało się im w „Victorii” — „jak u mamy”.

Wyposażenie pokoi jest zbliżone do orbisowskiego, z tym, że jedno- i dwuosobowe zamiast wanny posiadają prysznic i są chyba nieco mniejsze. Ubikacje oddzielone od łazienek, w „Unii” nie. W apartamentach lodówki i telewizory. Oryginalna grafika plastyków lubelskich na ścianach. Goście mogą zamawiać posiłki do pokoi (u „konkurencji” także), korzystać z kasy wymiany walut, fryzjera, parkingu (nie strzeżony). Cena pokoju jednoosobowego (z rabatem) waha się w granicach od 96 do 120 zł, a apartamentu — 267. Cudzoziemcy placą odpowiednio więcej. Kuchnia dobra, stek a la Victoria znakomity.

A oto wady hotelu: ślimacze windy, brak gospodarczej; lilipuci podjazd do obiektu, na którym jednorazowo może zaparkować najwyżej dziesięć samochodów; nieszczęśliwa lokalizacja przy skrzyżowaniu dwóch ruchliwych ulic; niefunkcjonalne umiejscowienie Informacji Turystycznej, co powoduje, że urzędujące panie prawie wcale nie mają klientów.

„Victoria” nawiązuje swoją nazwą do hotelu z lat międzywojennych, który we wrześniu 1939 r. gościł... kilku członków rządu RP, kierujących się na Zaleszczyki: na drugi dzień po opuszczeniu budynku przez ekipę został on zbombardowany przez lotnictwo niemieckie. Stara „Victoria” należała do hrabiostwa Łosiów z podlubelskiej miejscowości Niemce. Po wojnie hrabia Łoś wykladał na KUL-u, często jadając obiady w nowej „Victorii”, ohrzczonej tak drogą prasowego plebiscytu. Chyba nikt z personelu nie identyfikował starszego pana z właścicielem znanego niegdyś hotelu, byłem świadkiem nieprzyjemnej scysji między profesorem a kelnerem, zawinionej przez tego ostatniego. Hrabia Łoś zmarł w ubiegłym roku.

Dodajmy jeszcze, że wszyscy pracownicy recepcji „Victorii” mają średnie wykształcenie hotelarskie, co na Lubelszczyźnie, nie licząc puławskiej „Izabeli” i „Unii”, jest czymś niespotykanym.

Osobny rozdział lubelskiego hotelarstwa zapisują goście. Na ogół nie jest źle — jak mawiał pewien pan któremu skradziono pusty portfel. Zdarzają się przecież kradzieże ręczników, firanek z korytarzy, ktoś podpalił nawet zegar ścienny, inny telefon. Gorsze są jednak efekty sposobu bycia niektórych klientów.

— Personel dostojnie boi się średniakowatych aktorów i piosenkarzy, studentów i młodych sportowców w grupach. Jak się zbliża „Studentka Wiosna Teatralna”, wstyd powiedzieć... Wrzaski, tumult, bezczelność, telefoniczne budzenie innych gości w środku nocy. Najspokojniejsze są wycieczki z prowincji, ze wsi: popijają cicho i idą spać. Bywa, że i zagraniczni „dają popalić”, w ubiegłym roku sportowcy francuscy o mało nie zdemolowali hotelu, gwiazdami witali kobiety, ech, co tu się działo... Interweniuje my jednak szybko i energicznie, na ogół spokojnie jest.

Zupełnie spokojny mógł panować w Lublinie tylko na początku ubiegłego wieku, bo jak zanotował w pamiętnikach Kajetan Koźmian: „w całym mieście tak ucieszczaniem nie było żadnej oberży, żadnej restauracji, żadnej kuźni, żadnego zajezdnego domu”.

a w hotelach ciągle tłok

Ireneusz J. Kamiński



Komunalny hotel „Victoria”

Fot. CAF

jącą 70 miejscami, a trochę później skreślono ze stanu posiadania „Europy” 183 łóżek, deprecjonując ostatecznie ten najstarszy hotel Lublina. Także Dom Wycieczkowy PTTK stracił 26 miejsc. W rezultacie tych wszystkich przedsięwzięć i operacji miasto zyskało jednak ok. 370 nowych miejsc hotelowych o wysokim, czy choćby przyzwoitym standardzie.

— W porównaniu z innymi miastami kraju baza hotelowa Lublina jest całkiem niezła — twierdzi przedstawicielka Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego.

— No tak, Kielce i Białystok to my na pewno bijemy na głowę — komentuje stary profesjonal.

Stosunkowo jest zatem nieźle, faktycznie jednak — coraz trudniej. W Lublinie odbywają się ogólnopolskie zjazdy naukowe i konferencje branżowe, do miejscowych fabryk licznie zjeżdżają specjaliści krajowi i zagraniczni, okresowo odwiedzają miasto słuchacze rozbudowywanych studiów zaocz-

Hotel „Unia”
Fot. CAF

NA przełomie XVI—XVII wieku szczył się Zamość swą pozycją w międzynarodowym świecie nauki, przyhołubił Szymona Szymonowicza, skusił Adama Burskiego, Szymona Birkowskiego, Tomasza Dreznera.

O obiektywnej i odczuwalnej subiektywnie hierarchii miast decydowało wówczas kilka czynników: po pierwsze — liczba mieszkańców; po drugie — charakter zabudowy, istnienie lub brak nowoczesnych założeń urbanistycznych i obronnych; po trzecie zaś — miejsce zajmowane przez miasto w całości życia politycznego i kulturalnego kraju. Handel i rzemiosło nie były czynnikami determinującymi bezpośrednio pozytywne lub negatywne opinie, aczkolwiek były głównymi czynnikami miastotwórczymi, stwarzającymi materialną podbudowę życia każdego z miast.

Zamość pod względem liczby mieszkańców należał do miast średnich. Partnerstwo i współzawodnictwo wobec Lublina, Lwowa, Torunia, Warszawy i innych największych miast zależało nie tyle od liczby mieszkańców, ile od posiadania pewnych wartości unikalnych, atutów wyjątkowych — i trudno mierzalnych, którymi nie mogły poszczycić się inne miasta; atutów znanych i cenionych w skali krajowej, zwłaszcza zaś międzynarodowej. Światowa reputacja Jana Zamoyskiego — to z tego punktu widzenia więcej, niżeli liczba mieszkańców; Akademia Zamojska — więcej niż wysoki poziom wszystkich szkół Lwowa, Lublina, Warszawy, Gdańska — miast, które uniwersytetu nie posiadały. Dla świata było zupełnie obojętne, ile liczył mieszkańców Zamość — liczyło się zgoła co innego.

Fenomen zbudowania na gołym polu przybytku wiedzy, który w ciągu paru lat doścignął, a w niektórych dziedzinach nawet wyprzedził najszacowniejsze ośrodki kulturalne, był zdumiewający. I społeczne odczucie tej niezwykłości odpowiadało jej rzeczywistym przesłankom. Warunkiem sine qua non znaczenia miasta w skali krajowej i międzynarodowej było posiadanie uniwersytetu. Jedynie na uniwersyteckiej glebie powstawały znaczące centra kulturalne. Działo tu, rzec by można, „samopowielanie się” wartości intelektualnych; uniwersytet skupiał spory zasób umysłowych potencji i wypuszczał ze swych bram liczne zastępy ludzi z wyższym wykształceniem, którzy z kolei ułatwiali rozprzestrzenianie wiedzy, tworzonej na uniwersytecie, w szerokie kręgi społecznych. W tych latach patetycznych Akademii Zamojska była tym większą świetnością miasta, że gromadziła w swych murach koryfeuszy nauki, słynnych w Europie i spopularyzowanych przez zamojską oficynę drukarską. Społeczność Zamościa obcowała — w tych samych warunkach przestrzennych — z uczonymi, których nazwiska otaczał nimb sławy. Jedni i drudzy byli mieszkańcami Zamościa.

O założeniu i budowie Zamościa pisano wiele. Wypada raz jeszcze stwierdzić, że nie zmarnowano szansy: stworzono miasto projektowane z rozmachem i perspektywą.

Oto wiele mówiący kalendarz budowy, 3 kwietnia 1580 r. został wydany przywilej lokacyjny dla Zamościa. Tereny pod miasto wyznaczono w miejscu, gdzie dotychczas nie istniało żadne osiedle. Już w 11 lat później Zamość miał 301 domów, w tym 232 w śródmieściu, 32 na przedmieściu lwowskim i 37 na przedmieściu lubelskim, a w wydany w 1618 r. dzieło G. Brauna „Theatri praecipuum totius mundi urbium” jego widok i opis znajdował się na równi z najstarszymi i największymi mastami europejskimi.

Projektantem i budowniczym miasta był Włoch Bernardo Morando.

Do Polski przybył około 1570 r. Przed zaangażowaniem go w 1578 r. przez Jana Zamoyskiego pracował w Warszawie, między innymi przy rozbudowie Zamku Królewskiego. Od 1580 r. aż do śmierci w 1600 r. pracował Morando na terenie Zamościa. Te 20 lat to okres wyjątkowej, twórczej pracy. Morando był jednocześnie i projektantem miasta, i jego budowniczym. Do niego należały wszystkie sprawy związane z budową miasta: dozór nad „frontem robot”, odpowiedzialność za wykonawstwo, kontrola projektów indywidualnych oraz dbałość o jednolitą koncepcję.

O kształcie Zamościa zdecydowała włoska teoria budowy miast, dostosowana do lokalnych wymogów obronności i warunków terenowych. Pełna realizacja systemu obronnego Zamościa została zakończona w 1618 r. Miasto otaczał wówczas mur obronny najeżony 7 bastionami, a ponadto od południa zabezpieczał je duży staw, od zachodu podmokłe łąki, od północy i wschodu szeroka fosa. Zamość składał się z dwóch zespołów: samego miasta z szachownicą bloków oraz pałacu — rezydencji Zamoyskich. Ze szczególną pedanterią pod względem urbanistyczno-architektonicznym został opracowany Rynek



Jan Zamoyski (Drzeworyt z dzieła Jana Zamoyskiego „Stemma Samosciorum”. Samoscia 1607).



Rycina Jakuba Lauro z 1617 r. przedstawiająca w formie łuku triumfalnego historię czynów Jana Zamoyskiego.

Wielki. Dziełem Bernarda Morando były prawie wszystkie najważniejsze budynki miasta: pałac, arsenał, kolegiata, ratusz, kamienice wzorcowe na Rynku Wielkim i bramy miejskie. Pałac budowany był w pierwszej kolejności i powstał w latach 1581—1586. W 1582 r. zbudowano arsenał. W 9 lat później zaczęto wznosić mury ratusza. Lustracja Zamościa z 1591 r. wykazywała już tylko 28 nie zabudowanych placów — był to dorobek, jak na 11 lat, wręcz imponujący.

Bonifacy Vanozzi, Włoch, sekretarz legata papieskiego kardynała Gaëtano, odbywający w 1596 r. poselstwo do Jana Zamoyskiego, tak

pisal o Zamościu: *Miasto Zamość zalozył pan kanclerz z powodu, ze się w tej okolicy urodził... Zaczął stawiać to miasto w roku 1581 i już dzisiaj liczy do czterechset domów, po większej części z włoska budowanych. Miasto formuje czworogran, ma rynek obszerny, otoczony kształtnymi podścieniami, w których znajdują się sklepy z różnymi towarami. Murują teraz kościół wspaniały i piękny, wewnątrz i zewnątrz dobrze ozdobiony. Ten kościół będzie kolegiatą, jest hojnie opatrzony, i już kosztownymi sprzętami kościelnymi zubożony został. Wystawił i zalozył Akademię, w której, prócz teologii, do wszystkich nauk są profesorowie... Jest też w Zamościu twierdza obszerna, ozdobna, rozważnie stawiana, i lubo w równinie, mocno obwarowana, lecz nade wszystko w liczny ryzsztunek dobrze opatrzona... Kazał wystawić bibliotekę bardzo dobrze rozporządzoną, znaczną, ksiąg zwłaszcza w językach greckim i ormiańskim... Architekt mi powiadał, że na same fabryki wydano już dotąd do 250 000 talarów w gotowości, nie rachując drzewa, materiału i pomocy z pańszczyzny z dóbr kanclerskich dostarczanej... Miasto zabiera się do handlu różnymi towarami i dlatego pan kanclerz przypuścił Turków, Ormiańców i Żydów.*

Zamość wabił ludzi utalentowanych przede wszystkim warunkami materialnymi i możliwościami awansu. Wybitny kupiec żydowski, Moosze Kohen, pisząc pod koniec XVI wieku w liście do brata o motywach decyzji przeniesienia się ze Lwowa do Zamościa, stwierdził wprost: miasto to jest barzo lepsze aniżeli Lwów.

Jan Zamoyski przykładal sporo uwagi do estetycznego wyglądu miasta, nie chciał widzieć w nim pustek ani lichych i obskurnych domów, a cudzoziemcom, którzy otrzymali od niego place budowlane, nakazywał pod groźbą utraty tych gruntów, aby jak najprędzej zabudowywali je, względnie zaczęli budowy wykańczali, przy czym wyznaczał im nawet termin, do którego mieli to wykonać. Tak na przykład 11 lutego 1600 r. Paweł Piaskowski, marszałek nadworny Jana Zamoyskiego, podawał do powszechnej wiadomości, że jego pan już przed rokiem obwieścił to był raczył wszystkim obywatelom miasta tego, aby domy, które tu poprzyjmowali w mieście, statecznie budowali i kończyli, żeby miasto tymi pustkami, albo szopami nie było zaszczone i naznaczone był raczył czas do dwu lat, które się miały kończyć na święto Jana św. w roku 1601; tak gdzieby do tego czasu te domy nie były słusznie pobudowane, albo cudzoziemcy przychodniowie, gdzieby się tu z majątnościami swymi i ze wszelkim sprzętem nie znieśli i tu obecnie nie mieszkali, majątności ich gruntowne mają być brane do skarbu JMści, które i jakiegokolwiekby się tu rozumiały mieć przy Zamościu. Nie więc dziwnego, że w krótkim stosunkowo czasie wyrósł Zamość na piękne miasto, budzące podziw i zachwyt zarówno u swoich jak i obcych.

Mniej więcej z rokiem 1596 czy 1597 stosunki w Zamościu były już w głównym swoim zrebie ustalone. Korpus profesorski był już na miejscu. Akademia otworzyła swoje podwoje, młodzież ścigała coraz liczniej i uczyła się z zapalem, drukarnia była już skompletowana i puszczona w ruch, a na dworze i w otoczeniu kanclerza życie rosło, wymiana ludzi i spraw stawała się coraz żywsza. Wspomniany wyżej dyplomata włoski Vanozzi pisał: *Znajduje się w tym mieście Akademia publiczna... Przy niej jest zgromadzenie zwane alumnami: znaczna liczba wybranej młodzieży uboższej, kosztem tego pana jest utrzymana. Widać w nich dowcip i obiecują sobie można po nich wyborne subiekta... Ma kanclerz*

kapelę złożoną z muzykantów i śpiewaków: ta zatosze grywa przy stole. Na dworze swoim ma ścisłe wojsko szlachty, kilkunastu paziów i esz szlachta... Pan kanclerz jest człowiekiem na wszystko bacznym, stara się zewsząd zaciągać wiadomości, zwykłe trzyma gazetę rzymską, pokazał mi jedną.

Zamojskie towarzystwo uczone tworzyli po pierwsze mistrzowie Akademii, inżynieria piękne, pracowite, stateczne, a w oboim języku biegłe, czytania jeśli nie narbył wielkiego, wszakże nieowsem skąpego, że wymienimy tylko Adama Burskiego, Szymona Birkowskiego, Melchiora Stefanowicza, Wawrzyńca Starniela, Jana Ursyna i Tomasza Dreznera, po drugie — dworzanie Jana Zamoyskiego: Piotr Ciekliński, Jan Szczęsny Herburt, Samuel Knut, Maciej Piskorzewski, a głównie ten, co wszelkim ich zajęciom i pracom, dyskusjom i przedsięwzięciom nadawał pewien polot i zapal, co umiał natchnąć entuzjastycznym umiłowaniem starożytności — znakomity filolog i poeta Szymon Szymonowicz.

Życie umysłowe tętniło nie tylko na terenie akademicko-dworskim, ale także w mieście. Wiadomo na przykład, że mieszczanin zamojski Jan Zychowicz posiadał 55 ksiąg — był to, jak na owe czasy, księgozbiór nader okazały.

Atmosfera umysłowa Zamościa objawiała się na zewnątrz najdobitniej w ruchliwej działalności tamtejszej oficyny drukarskiej. Z zamojskiej oficyny puszczono w świat między innymi takie publikacje, jak św. Ignacego „Epistolae” (w edycji Fabiana Birkowskiego), Dionizjusza z Halikarnasu „De collocatione verborum” (w wydaniu Szymona Birkowskiego), Pseudo-Herenniusa „Komentarz do „Metafizyki” Arystotelesa” (w wydaniu Szymona Szymonowicza), Adama Burskiego „Dialectica Ciceronis”. Pod względem edytorskim nie ustępowały one publikacjom wydawanym na zachodzie Europy. Filologia — to jedna część wydawnictw. Obok niej szły w świat publikacje z zakresu prawa, jak „Statuta Regni Poloniae” Jana Herburt czy „Processus iudicialis Regni Poloniae” Tomasz Dreznera. Jeśli dodamy do tego podręcznik dla Akademii Zamojskiej oraz długi szereg wydawnictw literackich, plodów talentu Szymona Szymonowicza, Piotra Cieklińskiego, Jana Szczęsnego Herburt i innych, a także szereg dzieł i publikacji z dziedziny nauk różnych i literatury — to otrzymamy bilans nader okazały, nieraz zdziwiający.

Pracowano w Zamościu na przełomie XVI—XVII wieku bardzo żywo, pożytecznie, a z entuzjazmem i zapalem. Jan Zamoyski i Szymon Szymonowicz byli tymi, którzy nadawali ton i pęd całemu temu ruchowi, poddając myśli i projekty, wspierając radą i wskazówkami.

Zamość doby Jana Zamoyskiego miał ambicje metropolii, wytwarzającej ponadregionalne wartości, do całego kraju adresowane. Dodajmy: posiadał te ambicje i dobrze je — w twórczej krzątaniu — spożytkował.

Jan Zamoyski — w przeciwieństwie do wielu mu współczesnych — nie we wspaniałym epitafrum widział sposób trwałego upamiętnienia się. Zapewnić je miały przede wszystkim dzieła piśmiennictwa i największy pomnik sławy — Zamość. Miał sporo racji Jerzy Dousa, syn znakomitego holenderskiego humanisty, gdy pisał o Zamoyskim: *Nie jednakowoż nie świadczy bardziej o jego miłości ojczyzny, jak to właśnie miasto, które własnym sumptem od fundamentów wybudował, potężnymi murami i basztami przeciw napadom nieprzyjaciół wzmocnił i od swojego imienia Zamościem nazwał. Wiemy wszyscy doskonale, że w ten sposób pozostawił on pamiętkę po sobie od piramid i pomników trwałszą, nie tylko w Polsce, ale również w całej Europie.*

WROCILISMY na stację, ale okazało się, że mamy jeszcze kilka godzin do odjazdu pociągu. Sawendaliśmy się po całym dworcu a szczególnie po peronie, z którego miał odejść nasz pociąg.

— O szesnastej z minutami pojedzie pociąg z dwoma wariatami — powiedziała Grzdylówna i zaśmiała się bardzo niefrasobliwie, rozbawiona swoim własnym wierszykiem. Wtedy podeszli do nas sokiści, wylegitymowali nas, sprawdzili zgodność trasy na naszych biletach z miejscowością na legitymacji szkolnej, zasalutowali i poszli. Tymczasem zaczęli nas jakiś chłopiec.

— Byliście w zoologu? — spytał — Nie? A ja właśnie z zoologu uciekłem. Dałem dyla prosto na stację.

— Jak to z zoologu? — zainteresowałem się wbrew własnemu postanowieniu nie wdawania się z nikim w żadne pogawędki.

— Normalnie, ojciec świnia, siostry złośliwe małpy, a starszy brat to goryl. Boks trenuje razem ze swoim złamanym nosem.

— I gdzie masz zamiar jechać? — spytałem jeszcze raz naruszając swoje postanowienie.

— Nad morze.

— Co tam będziesz robił? — Nie wiem dlaczego coraz bardziej interesowałem się tą historią.

— Do podstawówki — powiedziałem, a Grzdylówna skrzywiła się z niesmakiem. Zapomniałem, że mieliśmy w podróży udawać licealistów z miasteczka. Zresztą w tym poważnym już wieku nie umiałem jeszcze kłamać. Powód był taki, że zmroził mnie ten krawat, jeszcze do dziś pamiętam, malowany „na picassa”.

— Ja już mam to poza sobą — powiedział Krawat bardzo naturalnie.

Po tym oświadczeniu wydawał mi się teraz równie uczony jak jego ojciec profesor. W tym krawacie mógłby uchodzić przede mną nawet za studenta i też bym się nie dziwił.

— Słuchajcie — powiedział obejmując od razu nad nami przewodnictwo. — Jedziemy razem w tym samym kierunku, tylko że ja pruję prosto nad morze, do odjazdu mamy jeszcze kilka godzin. Po co tu mamy siedzieć? Raz już was legitymowali, tak mogą i drugi raz to zrobić. Idziemy się przejść. Muszę się zresztą pożegnać z ferajną ze swojej meliny.

— Do meliny nie chodzę — powiedziała naindyeczona i nabzdyczona Grzdylówna.

— To jest bardzo wytworna melina — powiedział Krawat rozluźniając węzeł u gardzieli. — To taka nasza licealna komuna. Gigi matka wyjechała do Francji na stypendium i ona została sa-

— Ja zaczekam na ulicy — powiedziała Grzdylówna oszołomiona tym widokiem tak bardzo dla niej nie warszawskim.

— Panie kierowniku — szarpal śpiącego Krawat — proszę się obudzić. Panie kierowniku! — wrzasnął wrzeszcząc robiąc do mnie oko — Milicja!

To pomogło. Kierownik zerwał się na równe nogi, jedną ręką poprawił fryzurę, drugą krawat, wrzeszcząc dwoma rozłożonymi rękoma wskazał nam krzesła.

— Siadajcie chłopcy. Masz jakieś nowe książki? — zwrócił się do Krawata.

— Jest mi pan jeszcze winien za poprzedni transport. Przychodzę po należność.

— Prawda, zapomniałem — zaczął szperać po kieszeniach i wyjął długopis. — Może chcesz zamiast tego długopis? Obejrzyj go sobie.

Manipulował nim w ten sposób, że ukazywały się coraz to inne gole kobiety.

— Mnie to nie interesuje — powiedział Krawat ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu. Zastanawiałem się, czy nie kupić czegoś takiego fikuśnego. Cała nasza kawalerka zaryczała by się ze śmiechu, a już największym od tego rzeczoznawcą był mój brat, któremu zresztą czasami wystarczyło pokazać palce, żeby go doprowadzić do skurczów żołądka.

Elegancki obszarpaniec sumiennie obszukiwał wszystkie swoje kieszenie.

— Wygląda na to, że nie mam ni grosza. Dysponuję gotówką za dwie godziny. Słowo handlowca.

— Za dwie godziny mnie już nie będzie — powiedział Krawat takim ponurym głosem jakby miał zamiar popełnić samobójstwo i zniknąć raz na zawsze.

— Czyżby? — spytał elegant ironicznie. — Mam tylko dolara. Chcesz, to mogę dać ci dolara.

— Niech będzie — grymasił Krawat, a ja wtedy nie wytrzymałem i spytałem, ile chce za ten długopis.

Mężczyzna obrzucił mnie długim, od stóp do głów spojrzeniem, zafrasował się i powiedział, że na zadatek naszej przyjaźni oddałby mi go za darmo, ale sam widziałem, że jest bez płynnej gotówki.

— Niech będzie pięć dych. Tracę na tym słówko. Na zadatek przyszłej przyjaźni.

Mężczyzna wziął pieniądze i przekazał je Krawatowi, który dalej był niezadowolony.

Zabrałem długopis i natychmiast straszliwie zawstydzilem się przed Grzdylówną, choć wprawie roilem sobie w jakie to ja ją wprawie zakłopotanie. Kobiety na długopisie wydawały mi się straszliwe.

Zostało nam już chyba z godzinę do odjazdu pociągu, kiedy Grzdylówna urwała się gdzieś na stronę, a Krawat opowiedział mi swoją tajemnicę. Z facetem z sutereny wiąza go interesy handlowe, przez które musi teraz uciekać z domu, bo go sumienie gryzie. Otóż klócił się ze swoim ojcem, ale w żaden sposób nie mógł mu dopieć do żywego. Stary był wyższy ponad wszystko i w ogóle nie gadał z facetami poniżej profesora czy wiceministra. Wtedy Krawat jako poeta zauważył, że tylko jedno go cieszy — książki — szczególnie te z dedykacjami różnych zagranicznych bubków, kumpli od różnych konferencji. Wykradał je z półki i sprzedawał temu facetowi w suterenie, który miał chody w różnych książkowych kanałach i przeciekach, bo sam kiedyś też był ambitny i znał się na starych książkach.

Sprzedził już tych książek chyba z dziesięć albo piętnaście, a stary nic nie zauważył, bo jak się okazało, w ogóle do tych biblii nie zaglądał. Zbierał je tylko jak sroka i spoglądał jak obrastają kurzem.

— To mnie dopiekło do żywego — mówił Krawat — a przecież kradłem po to, żeby jemu dopieć, jemu zrobić na złość. Teraz jestem w podwójnej kropce, bo jak prawdziwy złodziej mam również ciężkie wyrzuty sumienia. Po diabła robię te świństwa swojemu staremu? Przecież nie robi mi nic złego, nie chce tylko ze mną gadać. Zdenerwowałem się, napisałem list, wszystko wyjaśniłem i uciekłem z domu. Niech ma nareszcie jakiś problem nie naukowy do rozwiązania. Życie nie składa się tylko z samych problemów naukowych, które nie trudno rozgryźć fachowcowi. Niech więc, że żyje nie na księżycu. Widziałem różnych poetów na wieczorach autorskich, ale oni nie są tacy poetyccy jak mój starszynek. Idealista jak Byron.

— Hm — powiedziałem nie wiedząc, co mu powiedzieć. — Więc napisałeś list. To chyba dobrze. A fraszki też piszesz, jak mówił tamten? — dodałem bezsensownie.

Krawat usłyszawszy to niemal się obrzucił myśląc, że kpię sobie z niego.

— Przepraszam — mówię. — Nie o to mi chodziło, bo widzisz, ja ze Sledźem piszę powieść.

— Kto to jest Sledź? — spytał mnie Krawat ciągle jeszcze naburmuszony i wtedy właśnie nadeszła Grzdylówna, również w nienajlepszym humorze.

— Sledź? — powiedziała za mnie — to słona ryba, a także jeden taki dureń z naszej szkoły, o którym lepiej nie mówić, bo są dużo ciekawsze tematy.

— Sledź jest człowiekiem o key — mówię. — Chudy, ale silny i dobrze pływa.

— Czy widziałeś sledzia, który nie umiałby pływać? — odgryzła się Grzdylówna.

Akurat wtedy podstawiono pociąg i rzuciliśmy się do wagonów.

(Fragment powieści pt. „Pierwszy i ostatni rok w nowej szkole”, która otrzymała drugą nagrodę na konkursie ISW).

POWROT Z WARSZAWY

Janusz Olezak

— Stamtąd pojedę za morze.
— Za morzami też trzeba coś robić.
— Wpierw tam muszę dojechać, a dopiero potem się o to martwić.

Z dalszej rozmowy okazało się, że jego ojciec jest profesorem, to znaczy takim nauczycielem, który uczy innych nauczycieli, czyli jak to się mówi nauczycielem do kwadratu. Takiego nauczyciela to już wręcz trudno było sobie wyobrazić.

— Mój ojciec to świnia, pierwsza świnia na księżycu — mówił chłopiec z nienawiścią. — Księżycowy facet, żyje nie na tej ziemi. Uważa się chyba za poeetę, bo cały aż rozkwita, kiedy mówi o czymś ze swojej branży. Tylko ja go nie obchodzę i jak sam twierdzi, na mój temat woli nie rozmawiać. Może się zmartwi dopiero wtedy, gdy już mnie z tydzień nie będzie w domu, ale on i przez miesiąc nie zauważy mojej nieobecności, bo wydaje mi się, że ma za dużo dzieci. Każdy z nas przeszkadza mu na swój sposób. Do sióstr przychodzą studenci, nadęte lizusy — niby kochają się w siostrach, ale przychodzą podlizywać się panu profesorowi, bo on jest ostry dla ludzi jak siekiera. Wydaje mi się, że najchętniej to byłby ka-tem. To taki poeta od stawiania dwój studentom. Jeden dwójarz rzucił mu się pod nogi, ale mu rury nie zmięknęły. Drugim razem rzuciła mu się do nóg czyjaś tam matka, a on też wyszedł z pokoju. Jej też jakby dał dwóję za padanie do nóg. Wydaje mu się, że skrawanie metali to wielka poezja i stawia dwóję bez pardonu każdemu, kto tak nie myśli. Mój brat, jego syn też studiuje u niego, ale on dwój nie dostanie, bo jest wielkim panem sportowcem, szanowanym imię jegomościem bokserem. Dał by ojcu po nosie w dziekanacie, gdyby próbował boksera usadzić!

Wypowiedziawszy to wszystko bardzo szybko, chłopiec poprawił krawat. To w nim właśnie było nieoczekiwane, ten krawat, ale elegancja ludzi miastowych była często taka nieoczekiwana, że to już mnie nie raziło. Grzdylówna, uchodząca u nas za strojnisię, wyglądała tu na szarą gęś, niemal się jej wstydzilem. A co dopiero mówić o mnie! Jakże ja musiałem wyglądać paskudnie! Wszystko miałem nowe, prosto spod igły z miasteczkowego domu mody, ale jakoś nie dopasowane do siebie w częściach. Spojrzałem na krawat tego chłopca i zawstydzilem się Grzdylówny przed nim, nie przed chłopcem już chyba, ale przed samym krawatem.

— Do jakiej szkoły chodzicie? Do rolniczej? — spytał Krawat jakby czytając w moich rozmyślnościach. Wydał mi się jasnowidzący i nie mogłem kłamać, choć kłamstwo tak łatwo przechodziło mi przez gardło wobec dorosłych niemal chłopaków jadących do wojska.

ma z babcią, ale babcię pogotowie zabrało do szpitala. Starym ludziom to się często przytrafia bez żadnej okazji. Podobnie było tym razem.

Melina rzeczywiście była wykwiwna. Żeby nie jechał windą na dziesiąte piętro, to myślałbym, że jestem w pałacu. W olbrzymich ramach wisiały jakieś zamazane krajobrazy, zresztą tylko te ramy były w tym mieszkaniu ciężkie. Mebelki były takie kruche i kolorowe, że zdawały się być zrobione z pianki mydlanej. Kilkuosobowe, bardzo wykwiwne towarzystwo piło herbatę i rozmawiało o jazzie.

— A więc jedziesz nad to swoje morze? — spytał jakiś elegant — Czy to są ludzie znad morza?

— Mieszkają niedaleko stamtąd.

— Dwóch marynarzy dzierżawi u nas stawy rybne — powiedziałem ni w pięć ni w dziesięć.

— Morze to też prowincja — powiedziała jakaś gęś i dostała szybko po nosie od swojej sąsiadki, która stwierdziła, że morze jest cudowne. Ona urodziła się nad morzem.

— Wolę góry — upierała się gęś, może dlatego, że gęś jest ptakiem i marzy o wysokościach.

— W szkole powiedzcie, że choruję — poinstruował Krawat inne krawaty i zaczął się żegnać.

— Polamania kości — powiedział do mnie jakiś sympatyczny elegant, taki modny wierepięta i dodał: — Tylko nie utopcie go w tych swoich morzach czy stawach rybnych. To nasz szkolny poeta. Kto wtedy będzie pisał fraszki na nauczycieli?

Zamilkł, ale jak każdemu wierepięciu wydało mu się, że powiedział za mało. Przypomniał sobie nagle, że jest tamtemu winien pięć dych. Sięgnął do kieszeni, grzebał w niej bardzo długo, wyciągnął portfel i zwrócił należność.

— W podróży nigdy nie jest za dużo forsy — powiedział mrużąc oczy przed dymem z papierosa.

Zjechałszy z meliny windą. To było dla mnie spore przeżycie, bowiem po raz pierwszy jechałem windą. Zawsze moje jazdy odbywały się horyzontalnie, a teraz jak ptak pokonywałem pionie. Sam sobie zaimponowałem, choć jednocześnie wiedziałem, że nie mam czym sobie mydląć oczu. Przecież chcę zostać szoferem a nie windziarzem.

Na samym dole Krawat przypomniał sobie o drugim dłużniku i poprowadził nas w dół, do sutereny jakiegoś domu. To była prawdziwa melina. W brudnym, żelaznym łóżku, zaopatrzonym jedynie w materace, z których wylazło włosie, spał jakiś mężczyzna w zmiętym, ale eleganckim garniturku. Nie wiem, może miałem hyzja, jednakże wszyscy wtedy wydawali mi się elegantami, nawet ten zażawiony pijaczyna, który mógłby przynajmniej raz na rok pozamiatać i zrobić u siebie wiosenne porządki.

OKO -LICE SZTU- -KI

Wspominając kamienne „Głowy“

WIESŁAW Borowski dość często odwiedzał Lublin na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, bliski poczynaniom grupy „Zamek”. W 1963 r. na łamach czasopisma „Życie i Myśl” opublikował szkic informujący o sytuacji w lubelskim środowisku plastycznym. Oto krótki fragment tego artykułu. „Nie można... zaobserwować w Lublinie zjawiska dominacji jakiegoś wybranego gatunku plastyki, czegoś w rodzaju specjalizacji w jakiejś dziedzinie sztuki. Toruń np. słynie z grafiki, a Sopot i Wrocław chwalą się ceramiką artystyczną... A zjawisko kompletnego prawie braku rzeźby w Lublinie?”

Rzeczywiście, zaledwie trzech rzeźbiarzy pracowało wówczas na terenie województwa, a prawdę mówiąc tylko jeden wart był większej uwagi. Mowa o Stanisławie Strzyżyńskim, który demonstrował znaczną aktywność twórczą, najczęściej podejmując temat głowy ludzkiej. Owalne w obrysie, zredukowane do form najprostszyc i podstawowych, modelowane ze znaczną sprawnością — okazały się najlepszymi bodaj pracami kameralnej części dorobku Strzyżyńskiego.

Obecne rzeźby należycowoskiego plastyka odbiegają od tamtych realizacji tak dalece, że wątpię, czy ktoś bliżej nie obznajmiony z całokształtem twórczości autora pomnika w Bełżcu odnalazłby między nimi cienką choćby nić pokrewieństwa. Te rzeźby były spokojem, łagodnością i harmonią, podczas gdy współczesne realizacje figuralne są do emfaticznej przesady ekspresyjne. Strzyżyński rozrywa gipsowe sylwetki, deformuje, nadmiernie wydłuża, brutalizuje ich powierzchnie dziesiątkami drobnych uderzeń. Na wy-

stawę „Przeciw Wojnie” (Majdanek 1966) modeluje „Ofiarę wojny”, czyli rzeźbione kaleczeń, żalonne i tragiczne zarazem dno człowieczeństwa, natomiast w Rąbłowie, u stóp zalesionego wzgórza, wznosi patetyczny pomnik partyzanckiego czynu jedno ze swoich najlepszych dzieł.

Dzisiejszy Strzyżyński sprawdza się raczej w rzeźbie pomnikowej, próby twórczości kameralnej nie dają ciekawszych efektów, a bywa jeszcze gorzej. Może to kwestia przyzwyczajenia, treningu wyobraźni, przyswojenia plenerowych reguł operowania bryłą i przestrzenią? Rzeźbiarz ten bowiem od wielu lat projektuje i stawia pomniki o charakterze martyrologicznym, często dokumentuje wydarzenia ostatniej wojny, czasami przecież zajmując się medalierstwem.

Współczesna twórczość Stanisława Strzyżyńskiego ma więc charakter niejako okazjonalny, powiedzmy więcej: powstaje na zamówienie. To podejrzane określenie nie powinno budzić nieporozumień i emocji, albowiem niczego nie przesądza. Tylko bardzo młodzi artyści wierzą w coś takiego, jak absolutna niezależność i boskie natchnienie, spływające na czełka w najmniej spodziewanych okolicznościach. Faktem pozostaje, że najwybitniejsze dzieła malarstwa, rzeźby i architektury średnowiecznej czy nowożytnej powstawały na zasadzie umowy o dzieło. Dzisiaj jest podobnie, tylko w krajach niezbyt zamożnych artyści pracują dla osobistej satysfakcji, co jakoś nie powoduje u nich szalu radości. Owazem, jeśli mecenas narzuca twórcom swoje wyobrażenia o dziele doskonałym, sprawa kończy się na ogół fatalnie.

Sądząc po pomnikach zrealizowanych przez Strzyżyńskiego w Bełżcu (1964 r.),

Dęblinie (1966 r. — we współpracy z J. Kleczkiem) i Rąbłowie (1969 r.), artyście raczej pozostawiono wolną rękę, aczkolwiek według zamysłu autora schody prowadzące do tego ostatniego obiektu miały być w innym, dyskretniejszym miejscu. Ktoś zmartwił się jednak, że delegacje z kwiatami w dłoniach zmuszone będą bokiem wchodzić na postument i przeniósł schody w miejsce centralne. Rąbłów ma zatem własne scala regia, które nie niszczą przecież walorów monumentu.

Strzyżyński operuje przede wszystkim bryłą, formy ażurowe czy jakiegóż inne próby uruchomienia przestrzeni pojawiają się sporadycznie. Ten właśnie moment przypomina dokonania sprzed lat, owe kamienne „Głowy”. Czasami komponuje zespół emocjonalny, złożony z szeregu geometrycznych i dużych bloków cementowych. W ten sposób wyznaczył teren byłego obozu zagłady w Bełżcu, realizując jedno z dzieł martyrologicznych o wyjątkowo napiętej powadze.

Strzyżyński brał udział w wielu ogólnopolskich i międzynarodowych konkursach pomnikowych, otrzymując nagrody główne i wyróżnienia. Przypomnijmy tylko pierwszą nagrodę i wyróżnienie (wraz z J. Kleczkiem) w konkursie na projekt pomnika na Majdanku (1967 r.) oraz wyróżnienie w międzynarodowym konkursie w Sofii na pomnik chana Asparucha (1969 r.). Rzeźbiarz ten urodził się w 1923 r. w Kaliskach, w województwie poznańskim. W latach 1945—1950 pod kierunkiem B. Wojtowicza studiował w poznańskiej PWSSP. W 1955 r. otrzymał dyplom ASP w Warszawie.

IJK

Czesław Ryszka

RELIEF

moje dzieciństwo to już sen
powiedziałbym witraż
madonna z dzieckiem na rękach
anioł stróż i cudowna kładka
parka zablokowanych bućków w kącie
i nieruchomy w nocy pociąg

nad ranem otwierałem oczy cichutko
przez mrok dotykałem kształtów
matki pamiętej od snu
krzątającej się po kuchni

czerwona kula barwiła ściany
było raz blade raz różowo
a w piwnych oczach dziecka
dojrzały jasne kwiaty

świt przeszedł dzisiaj w dzień

SOBOTNI PODWIECZÓR

równą ulicą między sztachetami
maszerował kurz
miały grały na nim
warkocze sobie plotły
celowały przechodniom w oczy

zaraz za wiejską ulicą
za króciutkimi ogrodami
słońce przemieniało wodę w krew

kurz się wznosił i opadał
zakrywał słońca twarz
i kiedy już tylko czubek
czoła ponad lasem się złocił
ulice jaśniały czystą
pachniał wokół bez

jeszcze na chmurach została wstęga
wymieszanej z czerwienią pomarańczy
z kurzu ani śladu
za to wychynął skądś sen
i siedł po chatach
kończąc spokojnie ludzki dzień

ZDNIEM 17 marca 1971 roku teatr zatrudnił nowego magazyniera. Magazyn w teatrze to bardzo ważne miejsce, bez magazynu teatr praktycznie nie mógłby funkcjonować, więc wychodzi na to, że magazynier w teatrze bardzo ważna osoba. Nowy magazynier — jak teraz twierdzi jego teatralny chlebodawca — okazał się człowiekiem, który za kolnierz nie wylewa, czasem opuszczał dni pracy bez usprawiedliwienia, a raz nawet zostawił magazyn otwarty i poszedł w dal sina, etylową. Był karany administracyjnie, a raz nawet dyscyplinarnie.

Ale to wszystko musiało rozwijać się w czasie. Zaczyna się od tego, że oświadczenie o materialnej odpowiedzialności za dobytek teatralny nie zostało przez magazyniera podpisane. Zakresu obowiązków na piśmie magazynier nie otrzymał. Zaś pod koniec 1971 roku wystosował pismo do dyrektora, iż dokumentacja magazynowa z winy księgowości prowadzona jest niewłaściwie i w ogóle jakby bałagan.

Remanent roczny w magazynie ogólnym za 1971 rok wykazał niedobór na kwotę 10 317 złotych i 95 groszy. Lista braków zawiera 42 pozycje, m. in. włosy ludzkie, skóra bukatowa, galon srebrny, puder kosmetyczny, krochmal ryżowy... Dopiero 10 X 1972 roku, kiedy magazynier jest już na trzydziestym wymówieniu, otrzymuje on od dyrektora teatru wezwanie do zapłaty wymienionej wyżej sumy „pod rygorem skierowania sprawy na drogę postępowania sądowego”. Teatr doszedł do takich wniosków „po ostatecznym uzgodnieniu kartotek i przeanalizowaniu różnic inwentaryzacyjnych”, a trwało to dziewięć miesięcy. Przy czym teatr zażądał, żeby magazynier bułił w ciągu czternastu dni od daty otrzymania wezwania.

Magazynier zaczął składać wyjaśnienia, teatr ripostował, czas płynął i przyszło robić remanent za rok 1972. Okazało się, że w magazynie ogólnym są znowu braki, na kwotę 16 802 złote i 87 groszy. Zaś w magazynie kostiumów braki „męskie” wyniosły 12 170 złotych i 67 groszy, „damskie” — 6 351 złotych i 70 groszy. Lista niedoborów magazynu ogólnego liczy 88 pozycji, m. in. materiał ubraniowy 7 metrów bieżących, 2 kg butaprenu, 55 kg bednarki, kocioł ocynkowany, rajstopy, herbata ekspresowa, azotoks, grzebień... Pośród kostiumów miało brakować m. in. spodni brokatowych, butów z cholewami, lakierków, butów bokserskich, peleryny zakonnej, pasa wojskowego, spodni sztucznych, kostiumów kąpielowych, kozaczków damskich... Można by w taki dobytek nieliche jasełka odziać.

Zaraz na początku 1973 roku teatr wystosował do magazyniera pismo, żeby ten braki wyjaśnił, inaczej sprawa zostanie skierowana do „organów ścigania

POD PARAGRAFEM

CHOĆ TEATR NIE FABRYKA...

przestępstw gospodarczych”. Magazynier odpisał teatrowi, że „w 90 proc. bezpośrednią winę za powstałe różnice inwentaryzacyjne ponosi dyrektura teatru” i począł wylizywać dyrektora rozmaite grzeszki, a to polecenie przyjmowania na stan magazynu towarów, bezpośrednio z zakupu przekazywanych do produkcji, czyli wykorzystania na scenie (np. krawat, rajstopy, wianek), a to składowanie materiałów w miejscu nie zabezpieczonym. Teatr na to, że pewne rzeczy są nie do uniknięcia ze względu na „specyfikę teatru”, a magazynier powinien dopilnować, żeby wszystko grało.

Ta wymiana „uprzejmości” trwała blisko rok. Aż rok! 15 grudnia 1973 roku wpłynęło do sądu powództwo cywilne teatru przeciwko magazynierowi o zwrot kwoty 45 643 złotych i 19 groszy, co jest prostą i piękną sumą wylizanych braków w magazynie ogólnym za lata 1971 i 1972 oraz niedoboru w magazynie kostiumów. Pierwsza rozprawa odbyła się 7 i 1974 roku. Pozwany nie uznał powództwa i wniósł o powołanie komisji inwentaryzacyjnej, motywując, iż ostateczny remanent zdawczo-odbiorczy magazynu był dokonywany pod jego (pozwanego) nieobecność. Sąd sprawę odroczył do czasu, aż biegły księgowy zbada księgi buchalteryjne teatru i wykaże zasadność roszczeń powoda.

Biegły pracował w pocie czoła 98 godzin, napisał ekspertyzę liczącą 16 stron, za co wystawił sądowi rachunek na kwotę 2056 złotych. Następna rozprawa odbyła się 14 marca 1974 roku. Pozwany nie stawiał się, bo nie otrzymał wezwania. Jeden ze świadków stwierdził, że w magazynie od lat brakowało kart tożsamości materiałów i nawet nie

wiadomo było jak się nazywają poszczególne materiały. Taki stan nowy magazynier już zastał, gdy przystępował do pracy. Z opinii biegłego wynika, iż pewne niedobory magazynowe z roku 1971 mają pokrycie w nadwyżkach inwentaryzacji zdawczo-odbiorczej za 1970 rok, np. włosy ludzkie. Zaś niedobory magazynowe roku 1972 mają pokrycie w nadwyżkach wylizanych za rok 1971, np. puder kosmetyczny, który wychodzi na zero. Ponadto istnieje możliwość kompensacji niedoborów określonych materiałów nadwyżkami materiałów podobnych, np. 7 metrów bieżących wełny ubraniowej (wartości 1296 zł) sukniem lejbikowym płaszczywym (wartości 2176 zł), niedoboru 55 kg bednarki nadwyżką 525 kg blachy i stali płaskiej, butaprenu (wartości 77 zł) klejem stolarskim (wartości 600 zł) itp. Gorzej z kostiumami. Nie można kompensować braku 9 sztuk garderoby damskiej i 28 sztuk garderoby męskiej nadwyżką 25 sztuk garderoby damskiej i 25 sztuk garderoby męskiej ze względu na różnorodność tej garderoby. Dodam — co by sobie ludzie pomyśleli, gdyby brak biustonosza kompensować nadwyżką peleryny zakonnej, pas wojskowy kostiumem kąpielowym itp.

Ekspertyza ta jest bardzo charakterystyczna nie tylko dlatego, że w swych roszczeniach pod adresem magazyniera teatr zapominał o nadwyżkach magazynowych, które nie wiadomo skąd się wzięły, ale jest ta ekspertyza charakterystyczna również dlatego, iż biegły, dopuszczając możliwość pokrycia niedoboru nadwyżkami (w kwestii materiałów zbliżonych), zakłada milcząco totalny bałagan w zarządzaniu dobytkiem teatralnym, o co można by już mieć pretensje nie tylko do samego magazyniera. Ciekawe również, że o niedoborze za rok 1971 teatr przypominał sobie dopiero pod koniec roku 1972, kiedy już magazynier miał wymówienie, i jeszcze ciekawe, że teatr zwlekał z oddaniem sprawy do sądu cały następny rok. Nie przeszkodziło to nikomu w wystawieniu magazynierowi opinii, że posiada lekceważący stosunek do pracy i do mienia społecznego.

Biegły stwierdził także, iż teatr niesłusznie obciążył pozwanego wartością kostiumów nowych, podczas gdy faktycznie były one wielokrotnie używane. Ostatecznie ekspertyza określa pozew jako udokumentowany tylko w zakresie kwoty 17 148 złotych i 96 groszy, jeśli sąd przyjmie wniosek biegłego odnośnie pokrycia niedoborów nadwyżkami.

Teatr nie jest fabryką, ale jest w końcu przedsiębiorstwem, które powinno dbać o porządek na terenie zakładu, dyscyplinę gospodarczą i finansową. Innych wniosków być nie może.

POM

Sennik egipski

- 6 -

- Cerkiew — znajdziesz chwilowe ukojenie
Ceremonia ślubna — szczęście cię czeka
Cesarz — wytworne towarzystwo
Cesarz, mówić z nim — przypadek polepszy twój byt
Chalat — będziesz się starać ukryć swoje wady
Chart — szybkie wykonanie powierzonych spraw, a nie przemyślanej, narazi cię na nieprzyjemności
Chata — dostatek w skromnym zakresie
Chalupa rozwalona — nagły wypadek
Chalwę jeść — dłuższa przyjemna pogawędka z miłą dla ciebie osobą
Chemik — posiadasz cudzą tajemnicę
Cherubin — dobra nowina
Chłińczyk — chytry człowiek oszuka cię
Chleb — powodzenie, dostatek w domu
Chleb biały — dobrzy ludzie pomogą ci
Chleb czarny — zmiana codziennego życia
Chleb suchy — los dokuczy ci
Chleb piec — powodzenie w interesach
Chlew pusty — będziesz mieć do czynienia z władzą
Chlew ze świnią — powodzenie we wszystkich sprawach
Chłop — praca, która da ci zadowolenie
Chłop,jechać z nim — spadek, podarunek, pieniądze
Chłop, handlować z nim — dobre zdrowie
Chłopka młoda — zysk, powodzenie
Chłopka stara — pech, niepowodzenie
Chłopiec — list, depesza lub inne dobre wiadomości
Chłosta — praca ponad siły
Chmiel — zaproszenie na wesele
Chmury ciemne — zmartwienie, strach
Chmury jasne — życie bez trosk
Chmury kłębiaste — niepewne jutro, niespokojne dni
Chodnik — spokój w rodzinie
Chodzić po cmentarzu — coś przykrego cię spotka
Chodzić po lesie — niepewne interesy
Choinka — szczęście w domu
Choinkę ubierać — sprawisz wiele radości najbliższym
Chorągiew — zwycięstwo nad swoimi wrogami
Choraży — unikniesz niebezpieczeństwa
Choroba — strata majątkowa
Chór słyszeć — przyjemna zabawa
Chór, brać udział — rozbawione towarzystwo
Chować się — niepotrzebne zdenerwowanie
Chować rzecz jakąś — wstyd
Chrabaszcze chwycić — usuniesz przeszkodę
Chrabaszczyk latający — lekkomyślny przyjaciel narazi cię na nieprzyjemności
Chryst zbierać — przejściowe troski
Chryst zwozić — marne wyniki pracy, zawód
Chrzan — klótnia z kobietą
Chrzest — dobra nadzieja przyszłości
Chrzantemy — pożegnanie miłości, rozłąka z przyjacielem
Chustka ciemna — zmartwienie
Chustka jasna — spokojna przyszłość
Chwasty — zła gospodarka, niedopilnowanie interesów
Chwytać coś — niepewna praca
Chwiać się — lekkomyślny postępek który przyniesie ci niemiłe uczucie
Ciało zdrowe — dobrobyt
Ciało chore — ciężkie przeżycia
Ciało piękne — wesoła zabawa, erotyczne przygody
Ciało brudne — plotki, oszczerstwa
Ciało, obnażać się — wstyd
Ciało, obnażać kogoś — zdradzisz cudzą tajemnicę, co w następstwie przyniesie ci wstyd
Ciało zranic — kłopoty
Ciastka — zaproszenie na wizytę
Ciasto jeść — niezadowolenie z zabawy, z odwiedzin
Ciasto upieczone — choroba
Ciasto zarabiać, piec — swaty, godzenie powaśnionych
Ciemność — niebezpieczeństwo
Ciele — popełnisz jakieś głupstwo, czego będziesz bardzo żałować
Cielęcina surowa — choroba
Cielęcina jeść — wyrzuty sumienia
Cień — trwoga bez przyczyny
Ciernie — zgryzoty, ból głowy
Cieplarnia — ze zdrowiem będzie coś niedobrze
Cierpienie — poznasz dużo nowych prawd
Cieśla przy pracy — szczęście rodzinne
Ciężar nieść — trudności w interesach
Ciężar zrzucić — poprawa bytu
Ciotka — nieporozumienia rodzinne
Ciotka, mówić z nią — gniew
Ciotkę witać — dla domu coś niedobrego
Ciotkę żegnać — zadowolenie
Cieszyć się — smutek i ciężka praca
Cierpliwym być — uznanie, życzliwość
Cio oplacać — niepotrzebne wydatki
Cmentarz — przyjacielska zdrada
Córke mieć — ciągle kłopoty
Cudaka widzieć — zrozumiałość, upartość
Cudzołóstwo — hańba, albo przykry wypadek
Cugle — przez oszczędność dojdiesz do celu
Cukier — strzeż się pochleby, który cię do czegoś będzie potrzebował, by cię potem wyzyskać
Cukier jeść — list miłosny lub list bardzo miły
Cukier otrzymać — konkury, dobra propozycja
Cukier dawać — ktoś będzie cię prosił o pożyczkę
Cukier kupować — dobrobyt
Cukierki — przelotne miłości, przelotna miła znajomość
Cyganka — kradzież
Cyganka grająca — szkoda przez niedopilnowanie domu, interesu
Cyganka — kłamstwo, które się szybko wyda ze szkodą dla ciebie
Cyganka wróżąca — płonne nadzieje
Cygara — zazdrość cię będzie ktoś
Cygara palić — nagła choroba lub śmierć
Cygarniczka — trudne do obliczenia straty
Cykorja — nieczyste zyski

Dalszy ciąg nastąpi

Kamena str. 13

PISANIE o polskiej powieści współczesnej umożliwia istnienie dwojakich stanowisk w odniesieniu do tych samych tekstów: można je ganić w czambuł oraz (również ze względu na ewidentne słabości) traktować je jako pretekst do dywagacji nad współczesnością, uzupełniać wizerunek świata przedstawionego przez autorów o filozoficzne i rzeczowe dopełnienia. Grymas wyrozumiałego uśmiechu jest stanowiskiem nagminnym i — często niesłusznie — opartym na założeniu apriorycznym, o plotkę a nie wnikliwie rozeznanie. Korrespondują z tym dwa poglądy: tęsknota za powieścią współczesną, która ujmie aktualne problemy z wyraźnym zarysowanymi konturami, i drugi negujący sens pisania prozy powieściowej ze względu na małe jej możliwości artystyczne, a nawet poznawcze.

Oba stanowiska są wobec siebie skrajne, wynikają z innego widzenia zadań i możliwości literatury. W interesie poniekąd drugiego warto przypomnieć słowa, jakie zanotował biograf Marka Aureliusza. Oto cesarz udający się na wyprawę wojenną zabrał ze sobą wszystkich gladiatorów, rozszła się pogłoska, że w ten sposób chce odebrać ludowi rozrywkę, by zmusić go do

zająć się w Polsce książką G. Barracough — „Wstęp do historii wojennej”, która za historyczne uważa wszystko, co wydarzyło się przed rokiem 1913. Dziś próg współczesności bywa sytuowany w latach pięćdziesiątych. Z takiego założenia wynika złożone implikacje. Człowiek współczesny, nie tylko ten dwudziestowieczny, musi traktować — zdawać by się mogło — nie tak dawne czasy za historyczne. Inna sprawa, że współczesność łączy się z tą — współczesną — historią na zasadzie unii personalnej, granicą dzieł zyciorysów ludzi znajdujących się w pełni sprawności zawodowej. Mało tego, fobie, zadrzy i plamy pochodzące z czasu już historycznego, mają wpływ na reakcje i zachowania w czasie na wskroś współczesnym.

„Losy” oparte są na trójkolewnym schemacie, powtórzonym dokładnie np. za książką Bratnego „Trzech w linii prostej”, której tytuł oddaje doskonale zasadę organizującą dzieło. Z niej to pochodzi nazwisko i żrąb dziejów głównych bohaterów: Jerzego Janasa (rocznik 1920), jego syna Kacpra i ojca, towarzysza frontowego z tej samej legionowej czwórki, wybitnego poety Roncewskiego (książkowego odpowiednika Broniewskiego). W postaci publicysty Andrzeja dopatrzyć się można cech Tadeusza Borowskiego, w książce autora wierszy „Do towarzysza Borowskiego” jest to dosyć naturalne. Literackie jest dzisiaj również nazwisko Rykierta. Literacki wreszcie rodowód wydają się

KONTYNUACJE BRATNEGO

Stanisław Jan Królik

filozofii. Oczywiście autor „Rozmyślań” — co warto pamiętać — zamiaru takiego nie miał, a gdyby nawet coś takiego kielkowało w jego umyśle, byłoby to zamiar wielce ryzykowny. Proza — już bez kwantyfikacji: powieściowa — realizuje się w dwóch zasadniczych grupach, jedna jest zbliżona do filozofii, druga ma coś wspólnego ze wspomnianymi gladiatorami, operuje znacznie mniej skomplikowanymi środkami, co wcale nie znaczy, że nie ma szans na trwałe miejsce w historii literatury. Doraźnie, zyskuje zwykle aplauz czytelnicy szybkiej.

Już daleko od brzegu Kacper odkłada wiosła i sięga do schowka w koi. Wyjmuje chlebek. Ten, w którym trzymał „rzeczy po ojcu”. Otwiera zawleczkę i wypada na dno łodzi archaiczny, dorożkarski numer. Kacper leży długo na dnie łodzi, trzymając na piersi tę ciężką blachę, jakby chciał, by słońce wyznaczyło mu to miejsce na skórze...

Nagle podnosi głowę. Zdać mu się, że usłyszał jakiś głos czy szelest. Natężył słuch. To tylko fala, poruszona pierwszym podmuchem wiatru, plusnęła o burtę.

„Losy”*) Romana Bratnego są książką o kontynuowaniu tradycji, książką otwartą, o czym — mam nadzieję — świadczy przytoczony fragment końcowy utworu. Według autorskiego posłowania mają w zamierzeniu kontynuować „Kolumbów”, warto pamiętać, że „Kolumbów” bez trzeciego tomu. Składają się „Losy” ze znanych już wątków, które były publikowane sukcesywnie w postaci opowiadań o odmiennym nieco rozwiązaniu szczegółów. Wynikły dodatkowo z mariażu Bratnego z telewizją. W tym, telewizyjnym, aspekcie będą „Losy” książką znaczącą.

Akcja powieści rozpoczyna się w roku 1945, kończy się już po 1978, w ten sposób 430 stron unieść musi ogrom sytuacji i przemian, jakie zaszły w tym czasie. Zrozumiałe, że w konsekwencji — dodając do tego fakt, że ponad połowa tekstu zajmuje się latami 1945—1956 — pewne partie książki zarysowane są migawkowo, doraźnie. Góruje obserwacja nad przemysłem, pytanie nad odpowiedzialnością. Pytania stawiane są nie tylko wprost, przy pomocy zdań pytających, ale również przez nagromadzenie obrazów, które czytelnik musi połączyć własnymi siłami i w miarę osobistych doświadczeń znaleźć na nie wytłumaczenie.

Pospłech charakteryzujący pisarstwo Bratnego łączy się nie tylko z jego temperamentem, ale również z faktem, że z każdym rokiem próg współczesności przesuwają się w kierunku końca dwudziestego wieku. Nie tak dawno uka-

mieć przedstawiciele pokolenia najmłodszego, w pierwszych zwłaszcza zbliżeniach zdający się wywodzić z debiutanckiej książki Głowackiego.

Najpełniej rysuje Bratny przedstawicieli pokolenia wojennego ze zmieniającym się układem: Andrzej-Daniela, Dionizy-Daniela, Jerzy-Catherine, outsider Walek. Wszyscy ci ludzie w końcowym rozrachunku ponoszą klęskę. Pod koniec akcji powieściowej pojawia się ich rówieśnik, występujący jako konsultant filmu, produkowanego przez ludzi młodych, którzy znajomości czasu wojny nie wywodzą z autopsji. Obok obowiązków konsultacyjnych spełnia on rolę dodatkową: mało wdzięczną, naganiacza na usługach impresaria wysyłającego początkujących piosenkerzy „na saksy” za granicę. Jeżeli będziemy pamiętać o terminie „pokolenie dramatyczne”, wprowadzonym przez warszawskich poetów podczas wojny, opozycyjnie dla „pokolenia lirycznego” ich ojców, to Bratny także ujęcie konsekwentnie realizuje, może z małą korektą — wyprzedzenia dramatycznych perypetii Roncewskiego i — w niewielkich epizodach — rówieśników ojca Janasa, z Jankuzynem na czele.

W „Losach” ważną rolę odgrywa miłość, z tym że jest ona traktowana dosyć schematycznie. Jeżeli we fragmentach poświęconych kontaktom Catherine z Rykiertem, Andrzeja z Sarną, może jeszcze w przypadku Andrzeja i Daniela, skrajny biologizm potęguje dramatyzm sytuacji, wpływa częściowo na śmierć Andrzeja i obłąkanie Catherine, to w pozostałych przypadkach autor oddaje punkty za nieudolność Miłości do Catherine (komunistki, repatriantki z Francji) jest powodem, dla którego Jerzy bierze udział w referendum (rok 1947). Miłość i sposób, w jaki postępują przeciwnicy przemian popycha go w szeregi partii. Klęska Andrzeja i — wydaje się, że większa — Catherine wynika z zachwiania się akceptowanego przez nich porządku, ponieważ nie mają się na czym oprzeć — odchodzą. Uczestnictwo w wydarzeniach historycznych daje satysfakcję, ale i zmusza do surowych rozliczeń.

Pozostaje kilka beznamiętnie uchwycionych przy pomocy spstrzegawczej kamery momentów z prób dziejowych, penetracja syntez historii współczesnej z wybraniem wydarzeń trudnych, katharsis, i — dodatkowo — optymistyczna nadzieja na przejęcie pałeczki aktywizmu przez pokolenie urodzone po wojnie (ów numer dorożkarski z cytowanego fragmentu).

*) Roman Bratny: „Losy”, Warszawa, 1973, Czytelnik s. 437.

Kultura 1974

Literatura

W latach 1973-1990 ukazujące się będzie 33-tomowa edycja pt. „Biblioteka zwycięstwa”, wydawana wspólnie przez kraje socjalistyczne, a obejmująca najwybitniejsze książki poświęcone tematyce antyhitlerowskiej oraz sojusznictwu i braterstwu narodów. Literaturę polską będzie reprezentować pięć książek: „Pokolenie” B. Czeski, „Opowiadania” J. P. Ramona, „Popiół i diament” J. Andrzejewskiego, „Frontowe drogi” W. Kotowicza oraz „Rok 1944” Z. Zatuskiego.

W tym samym czasie ukazała się antologia poezji i antologia dramatu. Pierwsza pozycja poświęcono wyławcom radzieckim, drugą polskim.

W marcu ukazał się setny numer miesięcznika „Poezja”. Numer zawiera szczególnie dużą ilość fraszek i parodię znanych wierszy, a także reprodukcje wielu prac plastycznych. Numer kwietniowy będzie poświęcony miejscowi poety w świetle i jego związkowi z krajem ojczystym.

W dniach 21-30 marca odbyła się w całej Wielkopolsce VIII dekada pisarzy środowiska poznańskiego, której spotkali się z czytelnikami i wysłuchali książki na kiermaszach oraz braли udział w tzw. biesiadach literackich.

W ciągu 10 lat istnienia Koła Młodych przy oddziale ZLP we Wrocławiu jego członkowie wydali ponad 70 pozycji książkowych.

W Meksyku wydano tom obejmujący trzy sztuki St. I. Witkiewicza: „W szalonym dworku”, „Wariata i zakonnicę” oraz „Matkę”.

Teatr

Na festiwalu debiutujących teatrów studenckich, który odbył się w Białymstoku pod hasłem „Start-74”, pierwszej nagrody nie przyznano. Równorzędne nagrody przyznano Warszawskiej Grupie Teatralnej z UW, kabaretowi „Je-lita” z Gdańska oraz kabaretowi

„Studio” z Torunia. Wyróżniono białostocki STS „Parada”. Udział brało 13 zespołów z 9 ośrodków akademickich.

Młody satyryk, Jacek Jan-czarski, znany dotąd z radia i kabaretu „Pod Egidą”, debiutował komedią współczesną pt. „Kapeć” na scenie Teatru Staro-go w Krakowie.

Nasz teatr telewizyjny na kilku swoich scenach w ciągu 30 lat zaprezentował 1700 spektakli, realizowanych w osmiu ośrodkach telewizyjnych. Co roku oglądamy około 700 aktorów, sztuki realizuje 70 reżyserów i 60 scenografów.

W warszawskim teatrze Ate-nium wystąpił Teatro della com-media dell'arte a l'Avogaria z Wenecji, prezentując „La com-media degli Zanni” (Komedia Zan-nich).

Teatr Pantomimy wyjechał z Wrocławia do Francji z nowym programem pt. „Przyjeżdżam ju-tro”. Spektakl był przez trzy ty-godnie grany we wrocławskim Teatrze Polskim, a widownia ma-jąca 1200 miejsc była stale wy-pełniona do końca.

Ponad dwa miesiące będzie występował w Sydney, a także w innych miastach Australii, wro-clawski Teatr-Laboratorium J. Grotowskiego.

W Doniecku przez dziesięć dni występował kłowicki Teatr Śląski, wystawiając sztuki Ww-spiańskiego, Kruczkowskiego i Mollera.

Zachodniemiecki pisarz, Rolf Hochhuth, tworzy sztukę pt. „Prawnicy”. Część akcji toczy się w r. 1943 w okupowanej Pol-sce, część w latach sześćdziesią-tych w NRF, a chodzi o to, czy w NRF można mówić o realizacji zasad praworządności.

Sztuka

Zakończyło się przyjmowanie prac na piątą już wystawę foto-graficzną „Wenus 74” w Krako-

wie. Pierwszą część wystawy be-dzie czynna od 3 maja do 31 paź-dziernika, druga od 1 listopada do 31 lutego 1974 r. Jury tworzą wybitni fotograficy z Polski, ZSRR, CSRS i krajów zachod-nich.

W warszawskiej Zachęcie od-będzie się wielka wystawa 300 dzieł malarstwa Alfreda Lenky. Dzieło to przekroj osiągnie te-go malarza w wieku 42 lat jego pracy artystycznej.

123 autorów nadesłało ponad 700 prac na konkurs sztuki ludo-wej woj. zielonogórskiego. Nagro-dzono 24 twórców.

Do 40 krajów świata eksport-uje Cepelia wyroby naszych ar-tystów ludowych. W roku ub. eksport ten przyniósł 23 mln zł dewizowych. Największą odbiorcą jest w USA i NRF. Za pomyteł nie może nadążyć szerególnie wy-rób kilimów i dywanów.

W stołecznym Domu Arty-sty Plastyka eksponowana była wystawa współczesnej grafiki ru-muńskiej, obejmująca dzieła 23 autorów.

Japoński krytyk artystyczny, Mitsugi Mochida, ofiarował Mu-zeum Narodowemu w Warszawie piękną współczesną statuetkę bo-gini miłosierdzia, stare mapy, ko-pie dawnych malowideł oraz 150 plakatów.

W Meksyku prezydent pań-stwa otworzył pierwszą światową wystawę numizmatyczną. Uczest-nicy w niej 28 państw, w tym także Polska.

Muzyka

Teatr Wielki w Łodzi wysta-pił z prapremierą musicalu Pio-tra Marczewskiego pt. „Przygo-dy pana Kleksa” w inscenizacji i reżyserii Lecha Wojciechow-skiego.

Główny Zarząd Polityczny WP oraz Urząd Miasta Świerado-wa-Zdroju ogłaszają konkurs na marsz wojskowy. Partytury z gło-sami należy przesyłać (z godłem) do 30 maja pod adresem: Zarząd Kultury i Oświaty GZP WP, 00-909 Warszawa, ul. Królewska 2.

Tegoroczny festiwal piosenki w Opeju potrwa od 26 do 30 czerwca włącznie. Rozpocznie się retrospektywnym przeglądem pol-skiej piosenki w okresie powoj-nym, zakończy dwukrotnym koncertem pt. „Mikrofon i ekran”.

Tegoroczny „Jazz nad Odrą” zakończył się 24 marca występa-mi pięciu zespołów zagranicz-

nych. Pierwszą nagrodę w kon-kursie jazzu nowoczesnego zdo-był zespół „Spisek sześciu” z Wrocławia.

XVI Poznańska Wiosna Mu-zyczna, która zakończyła się 31 marca, była retrospekcją współ-czesnej twórczości muzycznej w Polsce. Zaprezentowano 41 utwo-rów.

W sierpniu odbędzie się w Keszalinie festiwal chórów polo-nijnych. Dotychczas zapowiedzia-ło swój udział 23 zespołów, nie-kóre z nich posiadają także gru-py taneczne.

Wydział wbałno-aktorski łódzkiej PWSM do 31 r. przy-jmuje zgłoszenia kandydatur na artystów oper i operetek. Szczę-śliwowie informacja: PWSM, 90-716 Łódź, ul. Gdańska 32.

Wielka Orkiestra Symfonicz-na Polskiego Radia i TV pod dy-rekcją Stanisława Wisłockiego wystąpiła w siedmiu miastach W. Brytanii.

Z okazji 30-lecia PRL tele-wizja meksykańska nadała go-dzinny program muzyki polskiej z udziałem skrzypaczki polskiej pochodzenia Barbary Klissy.

Film

Przed 10 laty w Studio Fil-mow Rysunkowych w Białsku-Białej powstał film pt. „Kusza” reżysera Wł. Nehrebeckiego, któ-ry zapoczątkował karierę serialu telewizyjnego o przygodach Bol-ka i Lolki. Wkrótce z teje wy-twórni wyjdzie pełnometrażowy dźwiękowy film pt. „Przygody Lolka i Bolka”.

Przez trzydzieści lat sądo-no, że jeden z pierwszych film-ów Bunuela „España 1936” zaginął. Ostatnio jednak odnalezio-no w NRJ jego dwie kopie.

We Francji znowu moda na filmy okupacyjne. Jean Paul Bel-mondo wystąpi w utworze reży-serii Costa-Gavrasa, grając czło-wieka, który w okupowanym Pa-ryżu nie należy do ruchu oporu, nie kolaboruje, ale na swój spo-sób walczy z hitlerowcami.

Jestem zwolenniczką śmiałoś-ci w filmie — twierdzi Sophia Loren — byle nie była ona wul-garna. Marzę o tym, by zagra-ć w antycznej tragedii oraz w szta-lonej, całkiem szalonej komedii.

Różno

Plebiscyt słuchaczy Polskie-go Radia za premierę roku 1973 uznał słuchowsko Janusza Kra-sińskiego „Kochankowie z klas-toru Valdemosy” w reżyserii

Andrzeja Łanickiego. Drugie miejsce zajęło studiolowe Jerze-go Prędzińskiego „Zapalniczka” w reżyserii Zbigniewa Kopala.

W Łodzi trwają pierwsze Polskie Targi Książkowe. Jest to przedsięwzięcie wieloletnie, umocniłoby nawiazanie bli-skiej współpracy między organ-izacjami i stowarzyszeniami, sąpniującymi się i dzielącymi. Zgłoszono 90 pełnometrażowych programów, w których występuje ok. 700 wykonawców.

Ponad 1 miliony książek do-starczyła odbiorcom w roku ub. Powaszcza Księgarnia Wyszko-wa w Warszawie. Około 80 proc. dociera do mieszkańców wsi, ma-łych miast i osiedli, pozabawio-nych własnych księgarni.

4 maja nastąpi w Londynie oficjalne otwarcie wielkiego Poi-skiego Ośrodka Społeczno-Kulto-ralnego. Część obejmująca po-mieszczenia biblioteki, teatr dla dzieci i inne placówki jest czyn-na od roku.

Bogdan Łazuka, który po raz ósmy wystąpił w Cleveland, otrzymał symboliczne złote klu-cze od burmistrza miasta. Pio-senka Łazuki o warszawiankach stała się tam szlagierem.

Lubliniana

W Lublinie kończy się re-mont domu przy ul. Storożej 4, w którym swego czasu mieszkał Bolesław Bierut. Powstała tu Muzeum Ruchu Robotniczego. Je-go kustoszem i kierownikiem mianowano mgr. Henryka Mio-duchowskiego.

Doskonałym solistą Jednego z koncertów naszej Filharmonii był 16-letni pianista rumuński Tudor Dumitrescu. Dawno już sala Filharmonii nie słyszała takich oklasków, jak po jego występie.

Zespół Domu Kultury Kole-jarza, prowadzony przez mgr. Ire-nę Niewęglowską, z powodzeniem wystawił bań Andersena „Kró-lową śniegu” z muzyką Beethove-na i Scarlatti'ego.

Od 19 do 24 marca trwały 2a Lubelszczyźnie Dni „Trybunu Lu-du”. Wiele imprez miało charak-ter kulturalny. W przedostatnim dniu odbyły się dwa koncerty wybitnych artystów i zespołów, poświęcone ludziom dobrej robo-ty.

W ostatnich dniach kwietnia odbędzie się w Świdniku między-narodowy przegląd filmów o te-matyce człowiek — praca — twórczość. Wezmą w nim udział m. in. naukowcy z Lublina i Warszawy oraz publicyści filmo-wi. Pokazane będą filmy z 8 kra-jów socjalistycznych.

notki

GDY KTOS W LUBLINIE powie coś złego o stosunkach, panujących w naszych domach akademickich, natychmiast podnoszą się fale protestów i oburzenia. Więc od siebie nie napiszę, ale zdam relację z dwóch prawie jednoczesnych publikacji.

W TYGODNIKU STUDENCKIM „lid” (nr 12) studentka lubelska Sylwia Kryszpik pi-sze w liście m. in.: „Mieszkając tam, pla-miłabym tylko swój honor... Odniosłam wrażenie, że jestem w domu publicznym. Butelki po piwie, ba, nawet winie i wódce, nie są zbytno ukrywane... Wieczorem aka-demicy hucają od ryków i śpiewów (nikt nie interweniuje), na schodach można się pośi-żać i upaść w to, czego mieszkańcy nie mogli strawić... Być może w innych mia-stach Polski domy akademickie są godne tej nazwy, ale niestety w Lublinie — nie”.

NATOMIAST W KRAKOWSKIM dwutygod-niku „Student” (nr 6) Antoni Bochniarz na podstawie swoich badań stwierdza m. in. że w Lublinie: 1) 34 proc. mieszkańek domów akademickich i 37 proc. mieszkańców roz-poczęło już życie płciowe, 2) 63 proc. studen-tek uważa swoje życie płciowe za bardzo udane, ale tylko 14 proc. studentów jest tego samego zdania, 3) po inicjacji seksualnej jest 44 proc. studentek UMCS, a 14 proc. studentek Akademii Rolniczej. Opinie bada-nych wskazują jednak „na brak kultury w tym względzie, na zbędne afiszowanie swych „przewag”, na przypadkowość partnerów”.

JEDNYM Z NIEBEZPIECZNYCH objawów zafundowania jest cytowanie samego siebie. Wdłużnym tego przykładem jest nr. 12 „Prawa i Życia”. Informacja pt. „W sprawie polskich słowników prawniczych” zaczy-na się takim stwierdzeniem: „Na łamach prasy prawniczej pojawiają się od czasu do czasu głosy w sprawie polskich słowni-ków prawniczych”. Tu odnośnik 1), w tym-że odnośniku zaś: „Np. w 11 numerze „Prawa i Życia” (452 z 1973)”,

SZLAG MNIĘ JUZ TRAFIA przy „ogła-danie-słuchania” telewizyjnych transmisji meczów piłkarskich. Nasi sprawozdawcy

uważają bowiem, że sens ich pracy polega na stałym wymienianiu nazwisk 22 graczy — kto komu podał lub odebrał piłkę, kto sto-ł, a kto biegnie, kto kogo kopnął lub usłował, kto się namyśla, a kto nie. Gdy chodzi o drużyny zagraniczne można mówić nazwiska. Jakże silna na język przyniesie, bo moż-liwość weryfikacji jest żadna. Podczas trans-misji meczu Ruch — Feyenoord nasza tele-wizja „straciła kontakt” — jak powiedział spiker — ze sprawozdawcą z Rotterdamu i potem mecz komentował ktoś ze studia. Nie podano jego nazwiska, ale to rzeczywiście był komentarz, który przekazywał sens gry zespołowej. Oby częściej tracono kontakt z etatowymi sprawozdawcami!

W TZW. ROZSZERZONEJ INFORMACJI pt. „Renowacja Padwy północny” R. Wolak w „Trybunie Ludu” nr 85 pisze słusznie, że renowacja Zamoscia będzie kosztowała ponad miliard złotych i że dotychczasowe roboty kosztowały ponad 130 mln złotych. Ale potem twierdzi, że „prace zostaną za-kończone w połowie lat siedemdziesiątych” — czyli za 21 miesięcy. Nie trudno obliczyć, że w takim razie trzeba by każdego miesią-ca wykonywać roboty o wartości ponad 41 mln zł, co jest oczywistą niemożliwością.

W ODPOWIEDZI NA NOTATKĘ o perypetiach nabywcy Fiatu 125 p, który miał otrzy-mać 110 dolarów bonifikaty, ale nie mógł kupić droższej o 50 dolarów wersji tego samochodu, lubelski „Polmo-Behamot” na-desał nam wyjaśnienie, w którym czytamy najpierw, że „sytuacja opisana istotnie wy-daje się być paradoksalna lub, jak zazna-czono w notatce, wymysłem biurokracji”. Ale zaraz potem, że towar nie może być wydany bez wcześniejszego uregulowania należności itp., co chyba przeczy poprzed-niemu stwierdzeniu. Na dodatek „zobowi-żani jesteśmy do dopilnowania, aby dopłaty zostały uiszczone”. Byłem przy opisanej transakcji i stwierdzam, że klient chciał do-płacić z tego, co mu musiano zwrócić, ale taka oferta odrzucono. Myślę, że zamiast pi-sać nie nie wyjaśniające wyjaśnienia, „Pol-mo-Behamot” powinien wystąpić do Banku PKO, aby sprawę w rozsądny sposób ure-gulować. Ale tego nie zrobił i wszystko zo-stanie po staremu.

PO WIELOMIESIĘCZNYM REMONCIE od-dano do użytku sklep chemiczny w Lublinie na rogu ulic Krakowskiego Przedmieścia i Staszica. Ale zaraz po kilku dniach odpadła jedna płyta i teraz od trzech tygodni moż-na przeczytać wielki sztyd na sklepie: HEMIA. Choć tak napis widnieje w samym sercu miasta, nikt z handlowców tym się nie przejmuje. Poczekamy do na-stępnego remontu za pięć lat.

ekran i widz

Przygody Robinsona Kruzo

Przyszędem na świat w roku 1632 w mieś-cie Yorku. Rodzina moja, acz racna, była widoziemskiego pochodzenia. Ojciec mój (...) ożenił się z moją matką, której rodzice narzucili Robinson pochodzili ze starej, znanej w całym hrabstwie familii. Z tego to powodu nazwano mnie Robinsonem...

TAK zaczyna się napisana w 1719 r. powieść Daniela Defoe — „Surpri-sing Adventures of Robinsona Kru-zoe”, która przez następne dwieście pięćdziesiąt lat czytano na całym świecie z zapartym ichem. Miodzież fascynowała zawarta w tej książce przygoda i egzoty-ka, dorosli sięgali po „Przypadki Robin-sona Kruzo” dla ich warstwy filozoficz-nej, dla chwili zadumy nad sensem ludz-kiego istnienia. Dzisiaj, w dobie telewizji i lotów kosmicznych, powieść smakuje się już raczej jak dobre, stare wino, ale jesz-cze w niedawnych latach mojego dzieciń-stwa, przygody samotnego człowieka na bezludnej wyspie wywoływały niezwykle wzruszenia, wyrabiali wyobraźnię.

Robinsona poznawaliśmy zanim jeszcze nauczyliśmy się czytać. Opowiadał o nim ojciec lub dziadek, potem sięgano się po urośnięte wydania „Przygod”, a wresz-cie, gdzieś przed maturą, jawił się mło-demu czytelnikowi pełny tekst, tłumaczony przez Jerzego Birkenmajera, w całej swo-jej okazałości.

też wyspę zamieszkał przez Murzynów (były to czasy naszych marzeń o własnych koloniach) i wreszcie, po wojnie, nakręcono film „Młodość nieujarzmiona” z Janem Kurnakowiczem w roli głównej, roboczy tytuł tego filmu brzmiał: „Robinson war-szawski”.

Przygody Robinsona nie dawały spokoju twórcom filmowym niemal od narodzin kinematografii. Pierwszy raz sięgnął po ten temat Georges Melies, po nim stworzono jeszcze osiemnaście adaptacji książki Daniela Defoe, w samych tylko Stanach Zjed-noczonych dziewięć. W Meksyku film o Robinsonie nakręcił w 1934 r. Louis Bunuel. W ZSRR tuż po wojnie, Aleksander An-driejewski zrealizował „Priliczenija Robin-sona Kruzo”, wykorzystując najnowsze wówczas cuda techniki: kolor i stereofon-nię.

Jest rzeczą zaskakującą, że widz polski nie miał dotąd możliwości obejrzenia ani jednego filmu o słynnym samotniku, w każdym razie żadnego z czterech filmów powojennych. Dopiero nakręcone przed dwoma laty w Związku Radzieckim przez Stanisława Goweruchina „Przygody Robin-sona Kruzo” wypełniają tę lukę.

Jak zmieścić w czasie dwugodzinnej pro-jekcji historię człowieka, którego pobyt na samotnej wyspie trwał dwadzieścia osiem lat, zaś powieść (w wydaniu PIW-u z 1971 r.) rozciąga się na 611 stronach druku? Goweruchin dokonał bardzo szczęśliwego zabiegu: nie rezygnując z widowiskowości (film zrealizowano w kolorze i na szeroki ekranie), okroił znacznie wątek przy-godowy, a samego Robinsona ukazał nie jako tytana pracy zapobiegliwie pomna-żającego swój dobytek, ale jako przedstawi-ciela rodzaju ludzkiego walczącego przede wszystkim o zachowanie pełni człowieczeń-stwa. Robinson Goweruchina jest męzny, silny i zaradny, a samotne lata spędzone na wyspie dają mu czas na poznanie war-tości pracy i na właściwą ocenę sensu ist-nienia człowieka.

Choć film ten mieści się bardziej w gatunku filmów psychologicznych niż przy-godowych, to akcja toczy się wartko i nie wiadomo kiedy widzowie, tak dorodzi jak i ich dzieci, znajdą się wraz z Robin-sonem i Piętaszkiem na pokładzie odebra-nego buntownikom brygu, rzucając ostat-nie, tęskne spojzenia za znikającą za hory-zontem wyspę. Ale też wychodzą z kina o wgle mniejszej porażeni, niż wychodzili przed laty ich ojcowie i dziadkowie.

Dla pewnej części lublinian „Przygody Robinsona Kruzo” mogą stanowić dodatek atrakcje ze względu na odwróce głównej roli. Leonida Kurawłowa, który do zstudenienia przypomniał znanego lubelskiego plastyka, Jana Popka. I jeszcze jedno: Pię-taszek w interpretacji Iraklija Chizanisz-wili jakby chwilami potwierdzał pewne wstępne plotki, jakie od lat krąży na temat Robinsona i Piętaszka. Tak czy owak, lepiej w dyskusjach z dziećmi tego tematu nie poruszać...

Odpowiedzi redakcji

J.W.R. Warszawa. W nadesłanej przesyłce jest tyle wierszy o tematyce miłosnej, że przypuszczamy, iż zainteresowanie poezją jest u Pana sezonowe. Wskazywałoby na to również dająca się zauważyć niestaranność w samej realizacji. Albo opuścił Pana obsesja tego tematu, a z tym skłonność do wierszy, albo chwilowe hobby przekształci się w trwałe zajęcie. Na razie nie możemy powiedzieć.

Z.M. Osmolice. Początki coś zapowiadają. Ale proszę zauważyć jak mało dobrych poeci piszą o poetach i poezji. W ogóle o sobie. Nie dlatego, że są skromni. Dlatego, że zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa tego postępowania. Od niego jest już tylko krok do postawy narcystycznej, do zjedzenia swojej własnej substancji. Słowo „wiersz” w wierszu jest nieporozumieniem, jak przystawienie lustra do lustra jest posłużeniem się prefabrykatem. Młody autor wychodzi z założenia, że umieszczając w tekście utworu słowo „wiersz”, „poezja”, automatycznie ujmuje całe bogactwo problemów związanych z tą dziedziną twórczości. Efekt jest odwrotny. Utwór traci „wymiar w głąb”, przypomina o kartce papieru, na której istnieje jako zbiorowiśko słów. A o „mojej dziewiętności” napisano już tego tematu powinno dawać sygnał ostrzegawczy.

R.K. Kielce. Ma Pan dziwny zwyczaj. Pisze Pan wiersze właściwie konwencjonalne, pospolite, bliskie, tyle tylko, że od czasu do czasu wprowadza Pan zgrzyt, i to ma uchwycić za oryginalność. Nie chcemy robić złudzeń: nie wiadomo w tym walorów poetyckich. Może spróbować prozy?

D.G. Radzyń Podlaski. Wiersz o krzyżowcach jest dość niejasny. Mimo to czuje się pewną inwencję. Wydrukować nie możemy, ale prosimy nie zrażać się odmową. Oczywiście tę geologiczną próbkę. Ileżo wie, z powodzeniem może to być coś wartościowego.

Z.M. Zakrzówek. Przepraszamy za nieporozumienie. W tym czasie przesyłka znajdowała się w drodze. Otóż „rękopis” świadczy o zainteresowaniu psychologią, socjologią i filozofią. Świadczy również o tym, że autor posiada pasję wyrażania. Nie mamy pretensji, że charakter nadesłanego utworu nie daje się jednoznacznie ująć. Może to być „monolog wewnętrzny” (już przestaje być modny), może być „strumień świadomości”, może być list. Tylko co zdaje się odbierać utworowi pełna wymowa, to zaufanie do niuansów, domysłów, dywagacji. Rzecz w ten sposób stała się niewyraźna. Mimo wszystko przydałoby się trochę więcej dyscypliny.

S.G. Lublin. Chcielibyśmy coś wydrukować, bo ogólnie wrażeń odniesione z lektury wskazują, że tym tekstem druk się należy. Ale kiedy konkretnie chcemy zdecydować się na dany utwór widzimy, że tkwi w nim jakiś dyskwalifikujący błąd i tak z każdym. Prosimy zwrócić na to uwagę, bo przez drobny — ale jednak nie do krytycznej szczegól zwraca Pan uwagę na zaprezentowania swoich udanych fragmentów.

O.B. Biała Podlaska. Jednak widzi się w tym brak kontaktu z aktualnymi zagadnieniami współczesnej literatury. Choć teksty nie powodują zasadniczych zarzutów, widzi się ich oderwanie od tego, co dzisiaj interesuje czytelnika. Ma się wrażenie, że autor nie czyta czasopism literackich i kulturalnych, nie tkwi w problematyce współczesności. To jednak jest ważne niezależnie od tego, że aktualność tygodniowa nigdy nie była postulatem obowiązującym literaturę.

O.C. Kielce. Nie możemy poważnie ustosunkować się do nadesłanych materiałów, bo widzimy, że sam autor poważnie ich nie traktuje. Jest to jakiś rodzaj zabawy czy żartu, może nawet przekomarzenia się z redakcją. Żeby nastrożyć nam trudność — co z tym fantem zrobić. Odpowiadamy: prosimy o nowe teksty.

W.B. Radzyń Podlaski. To już zależy od autora. Możemy coś powiedzieć na podstawie otrzymanych materiałów, natomiast nie sposób coś proponować przed ich powstaniem. Proza czy poezja? Nie wiemy. Nie jest się autorem jako kontrahent korespondencji z redakcją. Jest się autorem wtedy, kiedy ma się coś do powiedzenia.

P.D. Lublin. Tak, ale nie jesteśmy piśmie wyłącznie poetyckim, nawet nie literackim. Gdybyśmy chcieli drukować wszystko, co przekracza tzw. próg drukowalności, musielibyśmy dysponować objętością znacznie przewyższającą aktualny rozmiar „Kamienia”. Zresztą nie byłoby w tym wyraźnego pożytku. Daliśmy byśmy co najmniej informacyjny przegląd tego, co pod piórami powstaje, a przecież nie o to chodzi. Nie możemy być antologią. Drukujemy teksty, które naszym zdaniem wykraczają poza przeciętność, albo zawierają ciekawe osiągnięcia. Prosimy więc o przysłanie wierszy. Może właśnie ten warunek spełniają?

F.Z. Radom. Utworów dramatycznych w ogóle nie publikujemy. Gdyby jednak było inaczej, to co otrzymaliśmy do druku się nie kwalifikuje. Wydaje się, że z pisaniem na scenę powinien Pan sobie dać spokój. Nadesłana rzecz wartości dramatycznych nie posiada. Ale próbować prozy może by i nie zaszkodziło. Nie zachęcamy, ale jednocześnie nie dyskwalifikujemy. Ewentualnie coś z tego mogłoby wyjść.

Szyfrogram literacki (nr 7)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przemieścić do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery. Pierwsze litery początkowych ośmiu wyrazów dają nazwisko poety-autora cytowanego fragmentu dramatu, którego kontrowersyjne przedstawienie wywołało ostatnio szeroką dyskusję.

Pojedyńcze czarne kratki w diagramie oznaczają koniec słowa, a podwójne koniec wiersza.

Wyrazy pomocnicze

- 81, 73, 67, 59, 103, 69 — odgłos, jaki daje orzeł.
- 65, 57, 76, 91, 82 — telewizyjna wieża przekazywająca.
- 101, 93, 14, 99, 53 — starożytna budowla koncertowa.
- 87, 35, 77, 23, 33, 5, 97, 71, 30 — bohater „Quo vadis”.
- 94, 86, 55, 44, 58, 15, 69 — dążenie do uzyskania uznania.
- 48, 13, 85, 31, 38 — małe ssaka przezuwającego.
- 68, 75, 43, 19, 41, 25, 51 — kawaleria.
- 78, 102, 61, 4, 80, 89, 50, 18, 70, 53 — impuls do działania, przedsiębiorczość.
- 23, 10, 56, 73 — katafalk, nosze dla zwłok.
- 62, 66, 12, 8, 100 — godność osobista, dobre imię.
- 29, 84, 34, 54 — powrotna fala akustyczna.
- 96, 92, 74, 24, 90, 2, 63, 46 — zawody ku czci nieżyjącego sportowca.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12
13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24
25	26	27	28	29	30	31	32	33	34	35	
36	37	38	39	40	41	42	43	44	45	46	
47	48	49	50	51	52	53	54	55	56	57	58
59	60	61	62	63	64	65	66	67	68	69	
70	71	72	73	74	75	76	77	78	79	80	81
82	83	84	85	86	87	88	89	90	91	92	
93	94	95	96	97	98	99	100	101	102	103	

83, 27, 6, 11, 64 — reguły postępowania zabezpieczone przymusem.
 40, 35, 1, 28 — ptak nadwodny.
 7, 21, 32, 69, 37 — plama z stramentu.
 85, 42, 47, 43 — handluje dziełami sztuki.
 36, 20, 3, 9, 28, 49, 83, 17, 79, 16 — miasto na Podlasiu.
 Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 131, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.
 Rozwiązaniem szyfrogramu z Nru 5 był fragment wiersza Juliana Przybosi „A. IV. 1943” ze zbioru „Póki my żyjemy”:

„Z łatwością lotu we śnie
 wnoszę cię z natchnienia
 jak z bitwy
 w zielony gaj, w pokój,
 wiosno, piosenka rzewna
 na imieniny kwietnia
 czterdziestego trzeciego roku!”

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu Nr 5, 4 bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali:
 Irena Wyrwas, Pzczela Woja, pow. Bychawa, Zdzisława Grobelska, Lublin, Długa 81A, Władysław Mikusek, Radom, Domagalskiego 2, Stanisława Widz, Kraśnik Lub. Świerczewskiego 2.

listy do kamieny

KONSERWATOR PRZYRODY?

Kilka tygodni temu przy drodze Kazimierz — Puławy wycięto całkiem dorodne drzewa, wchodzące w skład zabytkowego ciągu. Dokonał tego Rejonowy Zarząd Dróg Publicznych w Puławach, inspirowany przez swego wojewódzkiego zwierzchnika. Krytycznie pisal o tej sprawie „Kurier Lubelski”, a konserwator zabytków Kazimierza osobiście interweniował, zapobiegając dalszej i bezmyślnej dewastacji drzewostanu. Jedyńm człowiekiem, który nie zabrał na ten temat głosu, okazała się osoba z urzędu powołana do troski o przyrodę, czyli wojewódzki konserwator przyrody. Przyznam się zresztą szczerze, że dopiero przy okazji incydentu puławskiego dowiedziałem się o istnieniu takiej funkcji. Sądzę, że w podobnej sytuacji znajduje się ogromna większość miast, dla której konserwator właściwie nie istnieje. Zachęcam zatem tego obywatela do publicznego ujawnienia się i napisania kilku słów na temat tego, co robi, czy posiada jakieś plany działania, odpowiednie przepisy prawne za sobą etc.

Przy okazji chciałbym zwrócić uwagę — nie pierwszy i nie ostatni — na skandaliczne tempo prac przy organizacji ogrodu botanicznego UMCS na Stawisku. To już się ciągnie kilka dobrych lat, wyremontowany (czyt. postawiony na nowo) zabytkowy dworek Kościuszków jest niedostępny dla ewentualnych miłośników tradycji. A tyle setek tysięcy włożono w ten interes!

Roman Węgrzyn
Lublin

ZA MAŁO ROZRYWEK

W Miejskim Domu Kultury w Lublinie postawiono automaty do gier hazardowych i sportowych, które cieszą się wielkim powodzeniem (pijanę chuliganerii także). W dalszym jednak ciągu pozostał otwarty problem zapewnienia godziwej rozrywki ludziom młodym i dzieciom. Lublin należy do miast szczególnie nudnych i wypranych z przybytków atrakcyjnych i taniej rozrywki. Dyskoteki, organizowane w zasadzie w okresie wakacyjnym, to mało. Gdzie mają bawić się kilkuletnie dzieci? W osiedlowych placówkach? Nie radzę: cuchną i grożą skażeniem. Wydaje się, że pewnym rozwiązaniem

nie kwestii byłoby urządzenie wesołego miasteczka, wyposażonego w miarę nowoczesne karuzele, strzelnicę, „diabelskie młynki”, salę do gier automatycznych, kringelnią. Rozumiejąc, że sugeruję rzecz kosztowną, osmielam się jednak zauważyć, czy w obecnym stanie rzeczy nie płacimy wyższej ceny za wybrzyki, niesubordynację i znerwicowanie młodzieży. Ceny społecznej i moralnej.

Antoni Górski
Lublin

DEKOROWAĆ Z GŁOWĄ

Zachęcam gorąco do całkowitego zlikwidowania pokracznych elementów z rur metalowych i siatki ogrodzeniowej, które w za-

mierzeniu fundatorów i projektantów miały służyć dekoracji tras prowadzących do Lublina. Na niektórych widnieją napisy w rodzaju „Lublin wita was!” i temu podobne. Dobra intencja została zdeprecjonowana w praktyce, owe „transparenty” straszą dziś i śmieją, nie wystawiając miastu najlepszej opinii.

Myszę, że z samej idei atrakcyjnego i życzliwego dla gości oznaczenia wjazdów do miasta nie należy rezygnować. Do dzieła powinni jednak zabrać się fachowcy, plastycy, którym należałoby zapewnić odpowiednio trwały materiał. Pracę mogłoby wykonać w czynie społecznym.

Anna Jeleńska
Warszawa

KSIĄŻKI NADESŁANE

Poezja

Kajsyn Kuliew: Zraniony kamień. Wiersze współczesnego poety bałkańskiego wybrał i słowem wstępnym opatrzył Witold Dąbrowski. PIW 1973. Wydanie pierwsze s. 57 zł 10.

Robert Lowell: Wiersze wybitnego poety amerykańskiego wybrał, przełożył i słowem wstępnym opatrzył Andrzej Słomiński. PIW 1973. wydanie pierwsze, s. 35 zł 10.

Paul Celan: Wybór poezji. Wyboru z tomów czoiowego poety, żydowskiego pochodzenia, piszącego po niemiecku dokonał, przełożył i wstępem opatrzył Feliks Przybylak. PIW 1973, wydanie pierwsze s. 66 zł 10.

Tadeusz Nowak: Wybór wierszy; z przedmową Stanisława Balbusa. PIW 1973, wydanie pierwsze s. 164 zł 18.

Georg Trakl: Wiersze. Wyboru dokonał i wstępem opatrzył Jan Koprowski. PIW 1973, wydanie pierwsze s. 127 zł 18.

Powieść

Henryk Worcell: Pan z prowincji. PIW 1973, wydanie pierwsze s. 267 zł 15.

Zofia Bystrzycka: Trójwidzenie. PIW 1973, wydanie pierwsze s. 330 zł 20.

Konstanty Worobiew: ... I przyszedł olbrzym... KIK — PIW 1973, wydanie pierwsze s. 231 zł 15.

Mykolas Sluckis: Moja przystań niespokojna. KIK — PIW 1973, wydanie drugie s. 375 zł 22, z rosyjskiego przełożył Aleksander Matuszyn.

Ivo Michiels: Księga Alfa — Orchis militaris. przełożyła Anna M. Linke. PIW 1973, wydanie pierwsze s. 146 zł 20.

Janka Bryl: Świat daleki i bliski. Z biżurskiego przełożyła Ewa Rojewska. PIW 1973, wydanie pierwsze s. 270 zł 25.

Carlo Cosola: Poreba. Z włoskiego przełożyła Janina Zielenko. PIW 1973, wydanie pierwsze, s. 160 zł 10.

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Bogdan Madej, Zygmunt Mankowski, Zygmunt Mikołaj (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Mirosław Derecki, Ireneusz J. Kamiński i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Cena prenumeraty krajowej: rocznie 78 zł, półrocznie 39 zł, kwartalnie 19,50 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumerata na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Pozostałe — mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumerata na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch”, Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23, 00-340 Warszawa, konto PKO 1-6-100024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14-16.

Wydawca: RSW Prasa — Książka — Ruch Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka Zam. 753, 22.III.74. E-4.

Numer tamaj Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kurędy

Adres redakcji: 20-016 Lublin, ul. Narutowicza 35.

Nr indeksu 35-400

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Kamena

LUBLIN

7 IV 1974

NR 7 (545)

Cena 3 zł

Rok założenia 1933

Dwutygodnik społeczno-kulturalny

SWEGO czasu podsunąłem lubelskiemu Kołu Młodych przy ZLP pomysł wydania zbioru opowiadań młodych prozatorów Lubelszczyzny i zaproponowałem sobie jako redaktora tomu Pisarze składali teksty kilka miesięcy na ręce moje i przewodniczącego Koła Młodych, Stanisława Andrzeja Łukowskiego. Zebrało się tego ponad 300 stron, które przeczytałem i wybrałem około 150 stron a następnie trzeba było te wybrane teksty gruntownie przedzielić pod względem interpunkcyjnym, językowym a czasem nawet i kompozycyjnym. Potem była kwestia przepisania na maszynie owych opowiadań na koszt autorów, a ponieważ nie wszyscy młodzi ludzie byli uprzejmi wyasygnować odpowiednio kwoty, więc część kosztów pokrył Łukowski ze swojej kieszeni, zaś część ja, przeznaczając na to honorarium za spotkanie w Kole Młodych. Tom opowiadań ukazał się jeszcze w tym roku nakładem Wydawnictwa Lubelskiego, opatrzone moim wstępem i notami biograficznymi, również mojego autorstwa.

Ponieważ od pewnego czasu kursują wieści, że na trudzie i pocie artystycznym młodych prozatorów zarobieniem potężne pieniądze, przeto wyjaśniam, iż za wybór tekstów redakcja tomu, wstęp i noty biograficzne Wydawnictwo Lubelskie zapłaciło mi 3500 zł i mamy wszyscy sprawę z głowy. Niedawno młody poeta lubelski Marian Kawalko, członek zarządu Koła Młodych przy ZLP napisał w „Poezji”, że wysiłkiem zarządu lubelskiego Koła Młodych, a szczególnie Stanisława Andrzeja Łukowskiego, ukazał się „almanach prozy” młodych pisarzy z Lubelszczyzny. Czegoś mi zabrakło w tym stwierdzeniu, na co zwróciłem uwagę w prywatnej rozmowie, zaś wobec siebie dośzedłem do wniosku — no raz pierwszy — że nie mam szczęścia do młodych poetów.

Pod koniec ubiegłego roku ukazał się debiutancki tomik poezji Henryka Kozaka pt. „W krajobrazie łagodnych słów”. Autor zaofiarował mi jeden egzemplarz z dedykacją: „Niezapomnianemu red. Maćkowi Podgórnemu, wspominając nasz sierpniowy spacer LSM — Tatarski. H. Kozak. Lublin, 10 I 1974 r.”

Poezje Kozaka znam od dawna i po przeczytaniu tomiku wydało mi się, iż wybór dokonany przez wydawcę jest przede wszystkim zbyt szczypliwy jak na jakość Kozakowej poezji i po prostu przypadkowy, o czym zresztą z autorem rozmawialiśmy, dochodząc do zgodnych wniosków. Ponadto wydało mi się, że przypadek Kozaka świadczy o określonej sytuacji wydawniczej poezji, a przede wszystkim o „za-

PROWINCJA NOC...

Nie mam
szczęścia
do
młodych
poetów

interesowaniu” społecznym, jakim „cieszy się” młoda poezja. Dalem temu wyraz w — przyznając — nieco przewrotnym felietonie na łamach „Kamena” (nr 6 z 24 III 1974 r.) pt. „Nad Krznię i w krzakach”, opublikowanym pod pseudonimem.

Jeden z członków ZLP powiedział mi: „Co ty takiego wielkiego mistrza czynisz z Kozaka, mając pretensje, że mu zbyt szczypliwy tomik wydali!” Tęgo samego dnia zadzwonił do mnie młody poeta Henryk Kozak i spytał, czy się cieszę. Odpowiedziałem, że tak (ponieważ jestem optymistą z urodzenia) i zapytałem, z czego mam się cieszyć. Z tego, co napisałem o poezji Kozaka — odrzekł Kozak. A czy Kozak się cieszy — zagadnąłem Kozaka. Odpowiedział, że go nie interesuje, co o jego poezji sądzi taka menda jak ja i że bym mu

oddal jakąś książkę, które pożytyłem dwa lata temu.

Ostąpiłem, odłożyłem słuchawkę i zatelefonowałem do młodego poety Cugowa. „Stary, bardzo nieuczciwie postąpiłeś z Kozakiem, bardzo nieuczciwie” — powiedział Cugow smutnym, ale trzeźwym głosem. Poradziłem mu, żeby jeszcze raz przeczytał mój felieton i zadzwonił do mnie po kilku minutach. Zadzwonił, lecz... młody poeta Stanisław Jan Królak. „Stary, co się dzieje — powiedział — przeczytałem twój felieton, to za inteligentny tekst jak na miasto Lublin.” Przyznałem mu rację, choć chyba na wyrost. W każdym razie ja już teraz nawet nie wymagam inteligencji od ludzi, tylko znajomości języka polskiego. Cytuję z własnego felietonu: „Dzielo to (tomik Kozaka) nie stanowi żadnej odpowiedzialnej prezentacji poezji autora, którą znam i nawet lubię.” Cytuję dalej: „autor (Kozak) kilkudziesięciu bez mała wierszy. Jeden z najciekawszych młodych poetów mieszkających w Lublinie”. Czy takie słowa mogłyby się znaleźć w tekście szkalującym poezję zainteresowanego?

Następnie zatelefonowałem do młodego poety Henryka Makarskiego, przyjaciela Henryka Kozaka. Makarskiego nie było w domu, odebrała telefon jego żona. „Ty bronisz Kozaka, ale to może być źle zrozumiane” — powiedziała. Święte słowa. W końcu zadzwonił do mnie poeta Cugow. „Przeczytałem drugi raz — powiedział głosem małowym — to zdecydowanie przeciwko Kozakowi. Zdecydowanie, i jest tu jedna pani, która może to potwierdzić.” Opadły mi ręce i spodnie i powstało pytanie, co czynić dalej?

Ponieważ zostałem przez Kozaka obrażony niesprawiedliwie, więc mógłbym Kozaka wyzwąć na pojedynek. Ale Kozak strzela znacznie lepiej ode mnie, bo ja nawet w wojsku nie byłem. Mógłbym też Kozaka podać za obrazę do sądu państwowego, ale nie ma świadków naszej rozmowy telefonicznej. Przeto mogę stwierdzić jedynie — po raz wtóry — że nie mam szczęścia do młodych poetów. Jedyna polecha, iż niechęcy podsunęli mi temat niniejszego felietonu, dając okazję zarobienia dodatko-



Fot. Archiwum

wych paru groszy. Mogę jeszcze oczekiwać, że młody poeta Henryk Kozak w końcu mnie przeprosi i wszystko wróci do normy w naszym cichym miasteczku, gdzie na rzeczy znają się głównie żony młodych poetów.

Ale mnie w nocy śnić się będą karcelki prowincjonalne. Zeby tylko Wydawnictwo się nie obraziło w ogóle, bo to nie pod ich adresem.

Maciej Podgórski

minuta myślenia

Ha, ha, ha

ZACZYNAM już obojętnie na pewne osobliwości stroju, wpisując je na konto nierozumienia współczesności przez młodzież. Nie mogę natomiast obojętnie na pewne fenomeny zachowania się. Ostatnie w jaka falująca pstrokażona z pań przez zamierzone rozstrzelanie zapomniana wlotyże biustonosz — niewiele mnie obchodzi. Co najwyżej na ubranie kłocą

się kolory, a damski tors plasuje się zbyt nisko. Natomiast na zachowanie się nie wystarcza przyknięcie oczu. Muszę je odbierać, muszę na nie reagować, ponieważ atakuje mnie większym arsenałem środków, niż efekt wizualny.

Wśród nich — śmiech. Ja wiem, proszę państwa, że tak mało mamy do niego powodów przez mały w naszym życiu udział przecież dobrej satyry. Doceniam znacznie owego „ha, ha” jako reakcję na dowcip rzucany w rozmowie, czy przytoczony z czasopiśma. Nie mogę natomiast przyjąć, kiedy publiczność zgromadzona na występie satyrycznym reaguje salwami śmiechu przy każdym słyszonym słowie. Wygląda to tak:

Autor: „... i zażądał młotka”.
Publiczność: „Ha, ha”.
Autor: „... a później świderka”.
Publiczność: „Ha, ha, ha”.
Autor: „... a krew kapala pyk-plask, pyk-plask”.
Publiczność: (niepowstrzymany huragan śmiechu).

Odnosi się wrażenie, że cokolwiek padnie w estradzie, stanie się odskocznią w niebo wesołości.

Napisałem „cokolwiek”. Czy w ten sposób chcę wyrazić zarzut pod adresem autora? Bynajmniej. Mówi się, że niektórzy autorzy chałturzą. Ale w tym przypadku chałturzyńska stała się publiczność. To ona zatraciła kryteria własnej reakcji. To ona nachalnie wypycha autorowi swój aplauz. Gdyby jeszcze zaplaciła za bilety, tłumaczyłoby się tym, że jest z czego czytać — chce się przynajmniej za własne pieniądze dobrze naśmiać. Ale tu, wstęp był wolny. Więc co? Wyścig — kto pierwszy ryknie śmiechem? Rywalizacja w nierozumieniu satyry? Awangardowe poczucie humoru?

Nie, nie zapraszam na otomane elotki mającej wszystko za złe i wiem, że autorowi potrzebny jest współudział publiczności, którego to udziału nie należy odmawiać. Latwo jest zapadnąć w głąb fotela odca usta. Ale istnieją pewne reakcje uzasadnione i pewne

reakcje nieuzasadnione. Istnieje też przysłowie o serze.

A może ja się mylę? Może rzeczywiście dzisiejszemu człowiekowi potrzebne jest oszolenie i szuka go pod każdą postacią? Może ten zbiorowy śmiech z niczego to tyle co wódka, papieros, coca-cola czy wprost marihuana? Może to należy mówić o socjologii patologii? Nie wiem, z pewnością stanie się to kiedyś przedmiotem dociekań naukowych, ponieważ szanowna współczesność za dużo nam podobnych zjawisk dostarcza. To samo mamy np. na festiwalach piosenki, kiedy publiczność, składająca się przecież nie z samych wyrostków i podlotków, zaczyna wpadać w jakiś prawie trans skandując za wykonawcą blady refren, tyle tylko, że powtórzony znaczną ilość razy. Dzieci mają swoje „koci, koci, łapci” i „jawor, jawor, jaworowi ludzie”, dorosli — występy satyryczne i piosenki. Z tym, że dzieci zawsze o te parę latek są młodsze.

No tak, ale przecież dzieje się to w miejscu, o którym mówimy, że ma się stać miejscem kontaktów ludzi w jakiś sposób przyczyniających się do rozwoju kultury w naszym mieście. Więc kontaktujmy się. Ale jak? W tej atmosferze zbiorowego banału i byle jak a mocno przeżywanego wesołości? W imprezie, która tu przykładowo została przytoczona, przestał się liczyć sam autor. Publiczność przejęła pierwszy głos. Chciała się wykrzyknąć. Produkcją się sama. Dla siebie. Stała się autorem dającym upust swojej pasji śmiechu niezależnie od powodów.

A może to i dobrze? Mam projekt, który przynajmniej zaoszczędzi wydatków na kulturę. Zapowiedzieć wieczór satyryczny, ale nie zamówić autora. I tak będzie śmiechu co niemiara. A autor swoje dobre teksty jeśli zechce, odczyta komuś na boku.

Ijon

MARTINA WSZYTKOWA

POSTE RESTAURANTE
SMAK
MIKOŚCI I KEZ

Basia (co za spryt!) znalazła Mariusza nawet w Szczecinie. Ale szybko przerwała rozmowę, kiedy wydedukowała, że Mariusz przebywa w hotelu razem z Zuzanną. Obrabiona, odłożyła słuchawkę na widelki. I co dalej, proszę wycierzkę? (Przypominamy, że powieść drukujemy w autonomicznej tymbryce Poste Restante)

(28)
Mariusz i Zuzanna wyjechali ze Szczecina wieczorem i przed południem byli na miejscu. Zdali relację kierownikowi ze swojej nieudanej podróży.

— Ze też nie mogli go przymknąć dzień później! — Kierownik miał minę niechętną. — Ale, ale, czy wy nie znacie bliższych szczegółów?

— Na razie nie. Zresztą od kogo mieliśmy się dowiedzieć?

— No tak. Śledztwo zapewne trochę potrwa. Borowski miał głowę na karku, ale i on wpadł. Chociaż może go wypuszczą? Co? Jak myślicie?

Ani Mariusz, ani Zuzanna nie byli jasnowidzami. Kierownik zorientował się, że jego niepokój może wydać się podejrzanym. Chcąc sprawę załagodzić, oświadczył:

— Dzisiaj już nie przystępujcie do pracy. Musicie wypocząć po podróży. Jutro zastanowimy się, co czynić dalej. Zatrzymali się jeszcze przez chwilę w swoim pokoju. „Kropka” spoglądała na nich podejrzliwie.

— Jak się udala podróż?

Nie chcieli im się dzielić wrażeniami.

— Opowiedź ci następny razem — powiedziała Zuzanna. — Jestem bardzo zmęczona.

Minął miesiąc, w którym właściciel nie działo się nic. Ani Basia nie dzwoniła do Mariusza, ani on do niej. Najbardziej cieszyła się z tego Zuzanna, chociaż martwo ją, gdy Mariusz napole popadał w zadumę i jakby nie reagował na zadawane mu pytania.

Zuzanna już teraz stale odwiedzała Mariusza, spędzając z nim całe popołudnia i wieczory. Ale zawsze o dziesiąt-

tej, jedenastej powracała do domu. Gospodyni, u której Mariusz wynajmował pokój, była dość tolerancyjna, raz nawet zautowała pół fartem, pół serio:

— Może pan zamieszka razem z panną Zuzanną? Dopłaci pan czterysta, no trzysta złotych. We dwie jak zawsze łatwiej. Ja znam dzisiejsze czasy. To nie tak, jak dawniej. Trzy miesiące znalazłem chłopca nim wreszcie dałam mu się pocłować. I co? Myśli pan, że byliśmy razem? Cztery lata po ślubie wyszedł po papierosa i do dzisiaj ich szuka. Chwała Bogu, że chociaż dziecko nie mieliśmy. A swoją drogą mogłoby się pan zapisać do spółdzielni. Ja pana nie wyrzucam, wprost przeciwnie, niech pan mieszka jak najdłużej... Tylko, że właśnie, to zawsze właśnie.

Mariusz uśmiechnął się i w duchu przyznawał kobiecinie rację. Kiedy powtórzył ten monolog Zuzannie, ta zaubażyla:

— W każdej chwili możemy jakieś mieszkanie... no takie bez wygód kupić. Wiesz przecież, że mam posag.

— Tak, tak, jesteś „milionerką”. Mówiłaś już.

— Ale jednego ci nie posiadziałam. Wszystko wskazuje na to, mój miły, że zostaniesz szczęśliwym tatą.

— Nie żartuj! To nie jest temat do żartów.

— Wcale nie żartuję, Mariuszu. Co, nie cieszysz się?

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę...

(dca)